

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 18-go grudnia 1944r.

Rok VI. Nr. 50

ROLA FRANCJI

PO LISTOPADOWEJ WIZYCIE

Podróż Churchilla i Edena do Paryża, odbyta miesiąc temu — była wydarzeniem dużej wagi. Nie mówimy tutaj tylko o symbolicznej wizycie, o manifestacji przyjaźni, o ujawnieniu się uczuć. Treść polityczna tej wizyty wydaje się nam ważna. Zastanówmy się przez chwilę, jakie są bezpośrednie wyniki tej wizyty i jakie mogą być jej następstwa w przyszłości.

Francja staje się partnerem w zespole wielkich mocarstw, który dotychczas ograniczał się do Rosji, Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii /rola Chin stale jest raczej niewyjaśniona/. Sojusz anglo-francuski zostaje potwierdzony i odnowiony. Francja weźmie czynny udział w wojnie przeciwko Rzeszy, przy czym sojusznicy anglosascy zaopatrzą ją w broń; żołnierzy francuski będzie pomagał w działaniach na Dalekim Wschodzie. Stanowi to dowód, że Francja chce się wydzwignąć z zalamania, jakiego tam doznała, kiedy zezwoliła Japończykom na rozpanoszenie się w Indochinach. Wiemy, że upadek Indochin stanowił wstęp do upadku Singapuru. Imperium Francuskie jest ściśle związane z Imperium Brytyjskim nie tylko w Afryce /zagrożenie Francuskiej Afryki Północnej odbiło się fatalnie na losach Egiptu, zagrożilo całemu kompleksowi wpływów brytyjskich w Afryce/, ale i na Dalekim Wschodzie.

Powtarzamy tu tylko fakty znane każdemu czytelnikowi gazet. Co poza tym przynosi wizyta paryska i rozmowy z nią związane? Dało by się te wyniki tak oto streścić.

TWORZENIE PRZYZCÓLKÓW EUROPEJSKICH

Francja może stać się wstępem do prawdziwej europejskiej polityki W. Brytanii. Dotychczasowe zabiegi tej polityki można by określić mianem tworzenia przyzółków na kontynencie Europy. Grecja czy Włochy — oto typowy przykład tworzenia takich przyzółków. W Jugosławii próba jest połowiczna, niemniej jednak nie znaczy to, żeby Anglia całkowicie chciała położyć krzyżyk na tym kraju, jako na cudzej sferze wpływów.

Co do Portugalii, to pomimo, że kraj ten nie znajduje się w szczególnych łaskach znacznego odłamku opinii brytyjskiej, pomimo pewnych niepokojących dążeń, jakie kraj ten okazywał na niektórych skrzyżowaniach wojny, polityka angielska utrzymuje swoją przyjazną linię. Wobec Hiszpanii stosuje się taktykę przyjaznego wyczekiwania; słowa Churchilla pod adresem Franco wywołały liczne zastrzeżenia wśród opinii brytyjskiej, ale były one wyrazem chęci niemieszania się w sprawy wewnętrzne tego kraju. Polityka brytyjska uważa, że ogromnym sukcesem było to, iż Hiszpania nie rzuciła swoich atutów na stronę niemiecką. Względem ten także wiele wybaczyć.

Na północy Europy Norwegia stanowi przykład tworzenia przyzółków atlantyckiego. Na Zachodzie starania polityki brytyjskiej szły przez czas jakiś ku powołaniu do życia zespołu państw jak Francja, Belgia, Holandia, któreby zbliżyły się do siebie politycznie, wojskowo i gospodarczo i stworzyły bardziej spójną zapórę.

O EUROPIE BEZ EUROPY

Wszystkie te starania odbywały się bez udziału i głosu samej

Europy. Przynęty stanowią plan "wielkiej trójki", który był bardzo osobliwym planem. Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że plan ten, jeżeli chodzi o kontynent europejski, był koncepcją niebywałą: pomiędzy potęgą brytyjską a olbrzymimi rozległymi Rosji znajdował się kraj, bezpański, pustka, zwana Europą. Na Zachodzie miały działać wpływy angielskie, liberalne i powściągliwe, działające drogą perswazji, tłumaczenia, przyjaznej życzliwości. Co do Wschodu, to sprawa przedstawiała się mniej jasno. Linia podziału miała biec przez Berlin, Wiedeń, potem zapewne na południe ku Triestowi. Państwa na wschód od tej linii podpadały pod rosyjską sferę wpływów.

Plan "wielkiej trójki" był oczywiście paradoksem, jeżeli chodzi o Europę. Pozostawienie pustki na przestrzeni od Niemna aż po brzeg atlantycki, zepchnięcie Europy do roli przedmiotu sporu czy władzy — był to pomysł zbyt sztuczny, ażeby mógł się długo utrzymać. Po raz pierwszy w swoich dziejach Europa miałaby się stać przedmiotem sporu i rządów trzech wielkich mocarstw, które ze względu na swoje położenie, interesy, ciężar wpływów — leżą mimo wszystko raczej na obwodzie Europy. Tego rodzaju postawienie sprawy nie dowodziłoby niczego innego jeno tego właśnie, że rola Europy jest skończona, że przestaje ona istnieć jako ośrodek myśli, twórczości, energii, że doba jej wielkości minęła i że zaczyna się okres kiedy Europa będzie tylko przybudówką do mocarstw o światowym zasięgu.

Plan taki musiał być odczytany przez wszystkich Europejczyków jako wysoce niesłuszny, krzywdzący. Był to w pewnym sensie policzek wymierzony prestiżowi Europy; nie dziwnego, że wynikiem wprowadzenia w życie takiej polityki byłyby gwałtowna organizacja Europy przeciwko wielkim mocarstwom, byłoby skupianie swoich sił, ażeby uratować chociażby częściowo utracone stanowisko i wpływy. Europa musiałaby odpowiedzieć na takie plany i zamiały naprzód podejrzliwością — tak się też stało, jak to można było osądzić z wynurzeń pism krajów neutralnych — a następnie czynną wrogością czy niechęcią. Żadne wielkie mocarstwo nie może sobie pozwolić na tego rodzaju reakcję. Toteż kierownicze sfery angielskie zdały sobie sprawę, że plan "wielkiej trójki" jest zbyt niebezpieczny, ażeby można go było dalej forsować. I w tym momencie zastanowienia ocy W. Brytanii zwróciły się niemal odruchowo ku Francji.

DROGA NA LĄD EUROPEJSKI — PRZEZ FRANCJĘ

Nazwalimy obecne pociągnięcia polityki brytyjskiej wstępem do prawdziwej europejskiej polityki. Nie wiemy, czy tak będzie, czy po tym wstępie, tak szczęśliwie podjętym, przyjdą inne posunięcia, czy też polityka brytyjska zawała się i stanie w pół drogi. W każdym razie trzeba stwierdzić że akcja budowania przyzółków okazała się niewystarczającą. Przyzółki — to rzecz konieczności, ale to nie stały ląd polityki. Wciągnięcie Francji do dzieła budowania pokoju jest wejściem na stały ląd — ląd Europy.

Ani Grecja ani nawet Włochy nie dają gwarancji polityki europejskiej: są to pobraża Europy. Zainteresowania Włoch sprawami

wewnątrz Europy, jeżeli tak się można wyrazić, były raczej doraźnej natury. Włochy chciały powstrzymać w swoim czasie agresję niemiecką wobec Austrii; Włochy chciały odegrać rolę na Węgrzech, próbowały drogami polityki i mariażu królewskiego dostać się do Bułgarii. W rzeczywistości jednak te wysiłki włoskie były raczej słabe. Włochy patrzyły zbytnio ku Afryce, odwróciły się od Europy, a ich spółka z Niemcami była kupiona za cenę ustępstw w Europie i wypchnięcia ich do Afryki. Włochy nie mają tradycji wielkiego, czynnego zainteresowania Europą, chociaż są krajem niezbędnym — równie niezbędnym jak Francja — dla przetrwania Europy jako ośrodka kultury. Współdziałanie Francji z Włochami może dać doskonałe wyniki. Same jednak Włochy nie potrafią rozwiązać żadnego zagadnienia europejskiego.

ROLA FRANCJI MIĘDZY DWIEMA WOJNAMI

Francja otwiera całkowicie inne możliwości. Ma ona wielkie tradycje zainteresowania Europą jako całością. Ma tradycje podbojów, ma tradycje myśli europejskiej: pamiętajmy, że Napoleon w dobie pobytu swojego w Moskwie planował scalenie Europy. Rozumiał on już wtedy, że kontynent europejski musi być zjednoczony i że jest to niejako nieuchronny wyrok losu. Nawet więc w dobie imperialistycznego upicia się powodzeniem Francuzi nie tracili z oczu potrzeb kontynentu. Jakże inaczej miała się rzecz z Hitlerem, którego tępy, barbarzyński podbój nie był kierowany żadną myślą.

Francja po pierwszej wojnie rozumiała doskonale położenie Europy. Wiedziała, że sama nie będzie zdolna do wielkiego wysiłku nowej wojny, albowiem jest wykrwawiona nad miarę. Zdawała sobie sprawę, że Rzesza nie przegrała zupełnie i że trzeba się umocnić przeciwko możliwemu nawrotowi niemieckiej napastliwości. Postanowiła stworzyć system sojuszy. Niestety, te słuszne wysiłki francuskie nie zyskały poparcia brytyjskiego. W. Brytania patrzyła raczej nieufnie na próby francuskie. Uważała, że są one wynikiem niepotrzebnego zdenerwowania, a nawet hysterii. Polityka francuska zawiła w próżni, albowiem Francja nie miała siły, ażeby politykę tę sama utrzymać i przeforsować.

Ale polityka francuska po pierwszej wojnie nie była tylko, by tak rzec, zapobiegawcza, nie była tylko kierowana jednym, przemożnym pragnieniem — jakże usprawiedliwionym — uniknięcia nowej katastrofy. Francja, wierna swojej europejskiej, pragnęła dokonać większego powiązania Europy, wysunęła za pośrednictwem Brianda plan scalenia Europy. To, że Briand został oszukany przez Stresemanna nie zmienia postaci rzeczy; polityka francuska była kierowana słusznym instynktem, że należy szukać sposobów połączenia Europy, że wymaga tego wspólny interes nas wszystkich. Ale i tutaj polityka ta nie mogła się wyrazić w pełni, albowiem nie otrzymała odpowiedniego poparcia brytyjskiego.

PRZECIW BLOKOWI ZACHODNIEMU

Dzisiaj Francja zaczyna mówić do świata, a to co mówi, kaže się głęboko zastanowić nad następstwami politycznymi. Francja bowiem — jak to stwierdzają donie-

sienia poważnych obserwatorów politycznych z Paryża — nie odnosi się z nadmierną sympatią do planów t.zw. unii zachodniej, któraby związała tylko kraje Zachodu a pozostawiła resztę Europy w stanie zawieszania i beznadu. Francja uważa, że powołanie do życia bloku zachodniego nie jest pociągnięciem szczęśliwym. Sądzi ona, że blok taki musiałby być uważany przez Rosję za pociągnięcie niechętnie Związkowi Sowieckiemu, za tworzenie barier i zapór na Zachodzie — czyli innymi słowami przyznaniem się, że Zachód czuje się zagrożony, że rzuca niejako na zagarcie Wschód Europy, a sam zamyka się w swojej wygodnej i dobrze zaopatrzonej twierdzy. Francja uważa, że trzeba planować bezpieczeństwo dla całej Europy, że Europę nie można dzielić ani krajami, że nie można tworzyć sfer czy bloków. Musi być ona pojęta jako całość, a jednocześnie w pełni otwarta na współpracę z Rosją.

Oświadczenia nowego ministra spraw zagr. Francji, p. Henri Bidault są krzepiące. Świadczą one bowiem, że Francja zyskała w nim człowieka światłego, rozumiejącego potrzeby swojego kraju i potrzeby Europy; Bidault nie jest banalnym ministrem powtarzającym tanie banały. Nie idzie on po linii tych polityków, którzy dla pozyskania sobie popularności grają na hasłach nacjonalistycznych. Rozumie on, że Europie powojennej trzeba będzie czegoś więcej; wysuwa on m.in. słuszny pomysł umiędzynarodowienia Naderonii i odrzucenia myśli włączenia ziem niemieckich do Francji. Nie przypuszcza on, ażeby takie czy inne przesuwanie granicy rozwiązywało wszelkie trudności. Przeciwny jest też polityce niszczenia potencjału gospodarczego Rzeszy: potencjał ten winien być użytkowany dla dobra krajów Europy.

INICJATYWA I SIŁA ZESPALAJĄCA

Trudno w dzisiejszym stanie rzeczy mówić jeszcze o tym, jak Francja przeprowadzać będzie swoją politykę. Sprawozdania nadsyłane przez korespondentów sojuszników z Paryża zdają się grzeszyć nadmiarem optymizmu. Tak jak przed rokiem z górą w modzie było granie na niżkę, jeżeli chodzi o Francję, a przepowiednie marszałka Smutsa na temat Francji i jej przyszłej roli nie brzmiały nadmiernie pocieszająco, tak obecnie wpada się w drugą ostateczność i woła, że Francja "jest dalej wielkim mocarstwem". Droga do odzyskania przez Francję stanowiska wielkiego mocarstwa będzie na pewno długa: ale Francja nie będzie mogła istnieć o własnych siłach. Francja może być silna i wpływowa przez odpowiednie skoordynowanie i zespolenie sił innych narodów, przez podjęcie inicjatyw, przez pozyskanie sobie przyjaciół na kontynencie. Siła Francji nie będzie już siłą dawnego, by tak rzec, stylu: będzie to siła bardziej moralnego typu, siła wynikająca z umiejętności zespolenia energii Europy. Do tej roli Francja nadaje się doskonale. Jej przewodnictwo w tej mierze będzie powitane z radością przez wszystkie kraje Europy.

W wolnych krajach świata omawia się szeroko przyszłość Europy. Są takie i inne plany. Ale coraz jaśniejsze wydaje się, że sama W. Brytania nie podźwignie, z tych czy innych względów, tego zagadnienia. Stworzenie bardziej spójnej Europy nie może być

wyłączną pracą jednego kraju; Anglia musi działać na kontynencie poprzez inny kraj: Francję. Nie wiemy, jaki będzie dalszy los planów jednoczenia Europy. Sir Walter Layton, którego przełożoną na polski język pracę o "Brytyjskiej Wspólnocie Narodów i Organizacji Świata" omawiał p. Aleksander Boray na łamach tego pisma /nr. 46/, uważa, że Europa winna organizować się sama, niezależnie od W. Brytanii czy Rosji i że wszelkie mieszanie się wielkich mocarstw do tego delikatnego procesu może być tylko szkodliwe. Wydaje się, że pod wielu względami myśl Sir Waltera Laytona jest słuszna. Europa będzie musiała skupić swoje siły — jeżeli chce w ogóle przetrwać. Nacisk wielkich mocarstw, nacisk potrzeb gospodarczych, prawa wielkich obszarów, fakt że wojny obecne będą na coraz większą skalę — wszystko to nakazuje Europie jednoczenie się.

Przypuszczam jednak, że w myśli Sir Waltera Laytona można i należy dokonać małej poprawki: Europa winna organizować się we własnym niejako zakresie, skupiać swoje rodzime siły, mieć czas na proces scalania, który wtedy będzie trwał, gdy będzie organicznym wzrostem. Z drugiej jednak strony potrzebny jest tutaj impuls, nadanie kierunku, czy początkowej szybkości. I tu właśnie zarysowuje się rola Anglii, która ma wszelkie szanse do tego, by nadać kurs sprawie zjednoczenia Europy, ażeby użyć tego wstępnego impulsu. Może tego ona dokonać poprzez Francję. Dlatego współpraca brytyjsko-francuska jest także ważna dla przyszłości Europy, dla wszelkiej światłej myśli europejskiej.

PATRZYMY NA FRANCJĘ CHRZEŚCIJAŃSKĄ

Rola Francji w dziele jednoczenia Europy może być ogromna, albowiem Francja ma jasność myślenia, ma wielką tradycję, niewygasłe ogniska kultury, wielkich pisarzy. Nie jest dziełem przypadku, że Henri Bidault był przez długi czas wybitnym pisarzem politycznym Francji i że wyrażał on najlepszy gatunek myśli europejskiej. Nie jest dziełem przypadku, że Henri Bidault był pisarzem przenikniętym duchem chrześcijańskim. Miejmy nadzieję, że Europa jutra przypomni sobie, że ten właśnie duch jest duchem twórczym. Europa zmęczona religiami politycznymi czerwonej czy brunatnej odmiany rozumie bodaj lepiej twórcze pierwiastki wielkiej religii chrześcijańskiej — religii bez żadnego dodatku.

Zyczymy Francji, ażeby podjęła wielkie zadanie, które musi być zadaniem młodego pokolenia — zadanie jednoczenia Europy. Jest to — jak to nieraz pozwalaliśmy sobie stwierdzać na tych gościnnych łamach — prawdziwie twórcza idea; jeżeli nie zespolimy swoich sił w Europie, przestaniemy się liczyć. Plan "wielkiej trójki" stanowił groźne ostrzeżenie. Jeżeli nie zrozumimy tego ostrzeżenia — czeka nas zguba. Europa nie może sobie pozwolić na rozdrobnienie i rozbięcie. Francja ma do spełnienia wielką rolę; czy ją spełni — zależy nie tylko od jej woli, ale i od woli wszystkich narodów Europy i wszystkich ludzi światłych kontynentu. Francja nie podejmie sama olbrzymiego trudu: musimy jej pomóc.

London, dnia 19 listopada 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

POWOLNY MARSZ KU RENOWI

Czytelnik pism codziennych mógł w ostatnich dniach odnieść wrażenie, że wojna z Niemcami jest skończona. W niektórych pismach wydarzeniem na frontach — wydarzeniem może nie sensacyjnym, ale niemniej doniosłym — poświęcono tylko krótkie wzmianki na dalszych miejscach. Dramat grecki usunął wszystko inne w cień.

A jednak wojna nie tylko nie jest skończona, ale do końca jej jest jeszcze daleko. Optymizm niedawnych miesięcy, kiedy najwybitniejsi znawcy sytuacji strategicznej wyrażali przekonanie, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem, należy do przeszłości. Churchill przesądził przewidywany termin zakończenia wojny z Niemcami z "wczesnego lata" na po prostu "lato". Społeczeństwa brytyjskie i amerykańskie wiedzą już, że czeka je ciężka i krwawa kampania zimowa, po której dopiero zapewne rozpocznie się ostateczna i rozstrzygająca ofensywa.

Niemcy bowiem zdolali dostarczyć silnie obsadzone rezerwy nowe linie obronne, na które obok umocnień linii Zygryda składają się świeżo wybudowane umocnienia połowe. Wykorzystali umiejętnie nieuniknione okazy przerwy, gdy zwłaszcza armia gen. Pattona musiała zatrzymać się wskutek trudności zaopatrzeniowych. Mają znów na zachodzie ok. 600 — 700 tys. ludzi. Niewątpliwie straty ich w obecnych bitwach, będących walką na wyczerpanie, są ogromne. Według obliczeń SHAEF wyniosły one w ciągu 22 dni ofensywy zimowej 152.000 ludzi. Prędzej czy później straty takie muszą decydująco zaważyć na położeniu, gdyż Niemców na nie nie stać. Niemniej zacięty chwilowo opór niemiecki, rozbudowane w głąb umocnienia oraz warunki zimowe sprawiły, że postępy sojusznicze są bardzo powolne.

Najważniejszym odcinkiem pozostaje odcinek akwizgrański, gdzie przełom w kierunku Kolonii ma być ogromne znaczenie. Ale też postępu tu są najpowolniejsze. Większe postępy poczyniła armia gen. Pattona w rejonie zagłębia Saary, ale teren Palatynatu, do którego podchodzi, nie jest łatwy. Celem bezpośrednim ofensywy zimowej pozostaje dotarcie wszędzie do Renu, ale trudno jest przewidzieć, kiedy cel ten będzie osiągnięty.

BUDAPEST I WIEN

Równy front włoski nie wykazuje większych zmian. Teren pozostaje bardzo trudny, i o szybkich postępach nie ma mowy. Powoli jednak Kesselring musi cofać się ku Alpom, już choćby ze względu na szybko rozwijające się wypadki na Węgrzech. Ofensywy marszałków Malinowskiego i Tolbuchina doprowadziły do zalamania się całego niemieckiego systemu obronnego na Węgrzech. Los Budapesztu, którego zaczęli broniono przez wiele tygodni, wyda-

je się ostatecznie przesadzony; przynajmniej do czasu Szalasi'ego przesuwać się w pobliże granicy austriackiej. Nieunikniony jest także poważny odwrót niemiecki na całym tym froncie, oraz oddanie całych bodaj Węgier i południowej Słowacji. Niemcy muszą się skoncentrować na obronie bramy morawskiej, Wiednia i Alp.

Gdyby w nadchodzących miesiącach Rosjanom udało się przełamać tę linię obronną samej już wewnętrznej fortyfikacji niemieckiej, to skutki byłyby nieobliczalne. Niemcom groziłaby utrata najważniejszych obecnie ośrodków przemysłowych. Ale wydaje się, że zdolają oni przez czas dłuższy bronić się na nowej linii. Trzeba pamiętać, że zdolali wycofać swe siły z Bałkanów /przynajmniej do tego nieszczytnego podziału na "sferę wpływów", w którego wyniku wojskom brytyjskim nie było wolno działać na terenie Jugosławii/. Te siły wraz z cofającą się ku Alpom armią Kesselringa mogą bronić skróconej i w trudnym terenie przebiegającej nowej linii.

Komentatorzy brytyjscy i amerykańscy nadal odnoszą się krytycznie do strategii sowieckiej, wyrażając zdanie, że zbyt ubogą jest na cele polityczne — umocnienie wpływów na Bałkanach — i dlatego zbyt długo pozostawia w spokoju najważniejszy odcinek środkowy. "Teraz Sojusznicy walają o drugi front" — stwierdza z melancholią "News Review". Jednocześnie wyrażana jest nadzieja, że gdy mrozy skują teren, rozpocznie się decydująca ofensywa na ziemiach polskich. Przyszłość tylko pokaże w jakim stopniu przewidywania te są uzasadnione.

U ŹRÓDEŁ DRAMATU GRECKIEGO

Przeciąganiu się wojny mogłaby

Przegląd tygodniowy

zapewne przeciwdziałać polityka. Gdyby Niemcy nie mieli żadnych nadziei na to, że mogą powtórzyć się czasy Fryderyka Wielkiego, czyli nadziei rozbić zwyciężającą koalicję, to może opór ich byłby mniej zacięty. Niestety wypadki ostatnich dni musiały podnieść Niemców na duchu. Nietrudno wyobrazić sobie ich radość na wieść, że w Atenach Brytyjczycy toczą krwawe walki z partyzantami greckimi, że w parlamencie brytyjskim wre, lub że amerykański Departament Stanu krytykuje politykę brytyjską w odniesieniu do Włoch i Grecji.

Kto wie jednak, czy dramatyczne, jeśli nie wręcz tragiczne, wydarzenia w Grecji łącznie z innymi konfliktami wśród sojuszników nie będą miały zbawionego efektu. Dla narodów sojuszniczych powinno wreszcie stać się rzeczą jasną, że droga, po której obecnie kroczą świat, prowadzi wprost ku katastrofie i że tylko natychmiastowy nawrót do zdeptychanych ostatnio zasad może nas wszystkich od tej katastrofy uchronić. Chwilowo jeszcze pomieszanie pojęć, które sprawia, że bandy komunistyczne są przez niektórych uważane za "przyjaciół demokracji", nie pozwala liczyć na odłamanie społeczeństw zachodu na rozumienie istoty rzeczy. Ale koła kierownicze lepiej doceniają groźące niebezpieczeństwo.

Wypadki w Grecji nie są zjawiskiem odosobnionym. Są one jednym objawem głębszych wstrząsów, jakie przeżywa Europa.

Źródłem zła jest przede wszystkim podział Europy na sfery wpływów, który pod pozorem rozdziału stref operacji wojennych dokonany został w Teheranie. Wynikiem jego było, że W. Brytania i Ameryka nie protestowały przeciw wypadkom rozgrywającym się na ziemiach zajmowa-

nych przez wojska rosyjskie. Rosjanie uważali wschodnie ziemie Polski za swą własność, ustanowili na innych ziemiach polskich rządy marionetkowe, rozbrajali i deportowali tysiącami żołnierzy Armii Krajowej i nikt nie protestował. W krajach ex-wasalskich etapami wprowadzali rządy komunistyczne. Wszystko to było tolerowane, ponieważ uznawano prawo Rosji do "bezpiecznych" granic i "przyjaznych" rządów.

Jednakże Brytyjczycy zaniepokojeni tym rozwojem wypadków usiłowali z kolei zapewnić sprawowanie przez przyjazne im czynniki rządów w krajach, które sami wyzwolili i które należą do ich strefy wpływów. I gdy komuniści, nie uznając żadnych stref wpływów, sięgnęli siłą po władzę w Belgii, a następnie w Grecji, Brytyjczycy przeciwstawili się temu. Rezultat jest znany.

SŁUSZNE ZASADY

Pierwszym pozytywnym następstwem wydarzeń w Grecji, a także w Belgii i we Włoszech, gdzie Brytyjczycy zgłosili zastrzeżenia w stosunku do kandydatury hr. Sforzy, było sformułowanie na nowo zasad postępowania wobec oswojonych krajów w formie zbliżonej do zasad Karty Atlantyckiej.

I tak amerykański sekretarz Stanu p. Stettinius stwierdził, że zagadnienia rządów na kontynencie powinny być rozwiązywane według wytycznych demokracji bez wpływów z zewnątrz.

Ze swej strony zaś premier Churchill proklamował zasadę, że naród grecki, jak i inne narody, winny mieć całkowitą swobodę decydowania o swym rządzie w wolnych, uczciwych wyborach, a dopóki wybory nie mogą być przeprowadzone, władzę sprawować musi legalny, konstytucyjny rząd. Byłoby zaprzeczeniem

demokracji, gdyby pozwolono bandom na ustanowienie dyktatury komunistycznej wbrew woli narodu, a jedynie dzięki broni, dostarczonej do walki z Niemcami.

Obie te zasady są słuszne, chodzi tylko o to, aby mocarstwa uczestniczące we wszędzie, w całej Europie. Jasne jest zresztą, że jeżeli nie zostaną wprowadzone w jednej "strefie", to pozostaną martwą literą i w drugiej. W tym wypadku, jak trafnie przewiduje "Observer", sferę wpływów stałyby się także sferami takiej czy innej ideologii. A nieludno sobie wyobrazić do czego doprowadziłoby powstanie dwu bloków, jednego totalistyczno-komunistycznego, a drugiego demokratyczno-antykomunistycznego. Nastąpiłaby między nimi nieunikniona rywalizacja, podczas gdy rozczarowana i pelna obrzydzenia Ameryka powróciłaby do izolacji.

STANOWISKO POLSKI

My, Polacy w napięciu obserwujemy te wydarzenia. Słuchając oświadczeń Churchilla stwierdzamy, że każde jego słowo o Belgii czy Grecji ma też zastosowanie do Polski z tą różnicą, że tam małe grupki "lotrów sięgających po władzę, choć nigdy żaden głos nie został na nich odany" usiłują obalić legalny rząd wbrew Brytyjczykom, podczas gdy u nas to samo odbywa się, nie wbrew, lecz z pomocą obcych bagnetów. Czytając komunikat z Waszyngtonu, czekamy na konkretne posunięcia dla urzeczywistnienia zawartych w nim zasad.

Naród polski nigdy nie zszedł z płaszczyzny zasad, w imię których rozpoczęła się ta wojna. Nowy rząd Rzeczypospolitej z p. Tomaszem Arciszewskim, będącym uosobieniem Kraju walczącego od pięciu przeszło lat, w swych pierwszych oświadczeniach publicznych raz jeszcze stwierdził wobec świata, że Polska wierzy w ostateczny triumf hasła Karty Atlantyckiej. Ci, którzy poszli na śmieć w Warszawie, z dokumentowali — jak stwierdził minister informacji prof. Pragier — że "nie poprzestaną na imitacji niepełności czy na podrobionej wolności i że wola raczej śmierci, niż życie w niewoli".

Wypadki ostatnich dni utwierdzają nas w przekonaniu, że broniąc praw Polski, a zarazem walcząc o przestrzeganie prawa i umów międzynarodowych w życiu międzynarodowym, o prawdziwą wolność i równość narodów i sprzeciwiając się obecnej interwencji — działamy na rzecz swych Zjednoczonych Narodów. Wypadki te pokazały bowiem do czego prowadzi odstępstwo od zasad.

Trzeba wierzyć, że obóz sojuszniczy na czas zawróci ze złej drogi, po której krocząc od Teheranu, znalazł się na skraju przepaści.

ALEKSANDER BORAY

Z tygodnia na tydzień

4 grudnia: Wojska brytyjskie zajęły Rawennę. Oddziały II Korpusu przekroczyły rzekę Lamone.

— Niemcy podali, że wojska sowieckie dotarły do Jeziora Błotnego na Węgrzech.

— Oddziały partyzantów greckich E.L.A.S. /komunistycznej/ zaatakowały brytyjsko-grecką główną kwaterę morską w Pireusie. Początek rozruchów i walk ulicznych w Grecji.

5 grudnia: Za dnia lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Hamm, a lotnictwo amerykańskie Münster i Berlin. Nad Berlinem zestrzelono 91 samolotów niemieckich. 35 samolotów sojuszniczych

nie powróciło z tych zadań.

6 grudnia: Walki toczą się w Saareguemines.

7 grudnia: Wojska sowieckie zajęły Barcs nad Drawą.

— Premier T. Arciszewski wygłosił przez radio przemówienie do Kraju. Powiedział między innymi: "Jesteśmy w tej wojnie jednowątlani i zjednoczeni w Kraju, jesteśmy też jednowątlani w sprawie polskiej na obczyźnie. Łącząc nas nie tylko wspólna wola walki i zwycięstwa, ale też wspólne pragnienie odbudowania niepodległej Rzeczypospolitej na podstawach rzetelnej demokracji..."

— Polski Dywizjon Myśliwski zestrzelił u wybrzeży Norwegii pięć

Me 109 na pewno i jeden prawdopodobnie. Jeden pilot nie wrócił.

8 grudnia: Premier Churchill w przemówieniu w Izbie Gmin uzasadnił swą politykę wobec wydarzeń w Grecji.

9 grudnia: Wojska sowieckie zajęły Vac na płn. od Budapesztu i Ercsi na południe.

— Ogłoszono, że O.R.P. "Dragon" został uszkodzony w czasie działań inwazyjnych i pozostawiony jako jedno z ogniw sztucznego portu w Normandii.

10 grudnia: W Moskwie podpisany został sowiecko-francuski układ przymierza i wzajemnej pomocy.

Nowości lotnicze

Konferencja w Chicago ma się ku końcowi. Konferencja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, gdyż stanowiska Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Wielkiej Brytanii stały się na odcinku "wolności powietrza" i kontroli linii międzynarodowych. Stany Zjednoczone nie chciały przyjąć propozycji Wielkiej Brytanii, której treść ustalona została na zjeździe międzynarodowym w początkach tego roku. Postanowiono na niej dążyć do międzynarodowego podziału szlaków między poszczególne kraje, przydziału ilości lotów, oraz udziału w eksploatacji. Ameryka postanowiła oprzeć cały ruch lotniczy na wolnej konkurencji, prawdopodobnie w trosce o przyszłość swej produkcji lotniczej.

W następstwie doszło do pewnych bardzo ogólnych paktów. Wielka Brytania podpisze prawdopodobnie niektóre z nich, a więc: generalną konwencję, ustalającą podstawowe prawa komunikacji lotniczej, ograniczoną jednak do spraw dotyczących nawigacji, pewnych standardów natury technicznej i światowego związku lotniczego. Pakt ten nie porusza, ani nie reguluje spraw ekonomicznych, ani handlowych. Drugim paktem proponowanym przez Amerykę, do którego prawdopodobnie przystąpi Wielka Brytania wraz z dominiami, będzie pakt, regulujący eksploatację linii lotniczych na zasadach wolnej konkurencji w krajach przystępujących do paktu. Wreszcie pakt zaproponowany przez Holandię i Francję, ustalający prawa wolnego przelotu nad zainteresowanymi krajami, oraz regulujący zarazem lądowania samolotów sygnatury poza granicami ich krajów.

Poza tym na konferencji zarysowały się możliwości szeregu dwustronnych paktów, co należy uważać raczej za zjawisko niepożądane. Rosja prawdopodobnie nie przystąpi do żadnego paktu międzynarodowego, dając z boku do dwustronnej umowy ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki w kwestii komunikacji powietrznej. Udział Polski w konferencji znaczący się przede wszystkim w pracach poszczególnych komisji, głównie technicznych.

Sprawa szkolenia załóg, szczególnie w nawigacji, jest zadaniem żmudnym i długotrwałym. Nim nawigator, serce i dusza samolotu bombowego, naprawdę jest gotów do

lotów bojowych, musi wykonać szereg zadań w warunkach bojowych, w powietrzu, by nabyć maximum doświadczenia, które zwłaszcza w lotnictwie odgrywa olbrzymią rolę. Doświadczenia, jak wiadomo, nabywa się z czasem i tutaj leży trudność. Przy olbrzymim zapotrzebowaniu załóg, wszystkim krajom biorącym udział w wojnie powietrznej zależy na tym, by takie szkolenie odbyło się w jak najkrótszym terminie. Tymczasem okres szkolenia zależy jest po większej części od takich niezależnych od nikogo czynników jak n.p. pogoda. Zależnie od pogody wyszkolenie trwa dłużej lub krócej, i czas ukończenia nigdy nie da się z góry ustalić. Obecnie w godzinach lotu nie daje rezultatów, co najwyżej ujemne, w postaci załóg niedoszkolonych, nie będących w stanie wykonać zadania, mających minimalne szanse wyjścia cało, szczególnie w pierwszych lotach bojowych.

Już od dawna specjaliści wyszkoleniowi głowili się nad zagadnieniem: jak skrócić czas szkolenia, bez obcinania godzin lotu? Rozwiązanie nastąpiło w drodze technicznej i stosowane jest dziś w całej pełni w Ameryce.

Tam, koło lotniczych centrów wyszkoleniowych, można zobaczyć olbrzymie, nowe, kopaliste budynki, podobne zewnętrznie do obserwatorium astronomicznych. Inna kwestia,

że mają wiele wspólnego z astronomią, w nich bowiem kształcą się nawigatorzy w astronomii.

We wnętrzu budynku znajduje się olbrzymia hala. W środku hali wisi prawdziwy samolot bombowy. Nad samolotem rozciąga się najprawdopodobniej niebo z gwiazdami. Pod nim całą przestrzeń hali zaścienia wielki ekran, gdy w bocznych ścianach znajdują się centra kontrolne całej skomplikowanej maszyny.

Szkolone załogi odbywają normalne odprawy i otrzymują zadania bojowe, po czym udają się do samolotu. Wszystko jest tak urządzone, że pilot

Polski PEN Club

urządza

w piątek, 22 grudnia o godz. 6.15 wieczorem w Ognisku Polskim /45, Belgrave Square, S.W.1./

WIECZÓR KOLED

Wystąpią:

TOŁA KORIAN

w programie dawne i ludowe koledy: polskie, angielskie, francuskie, włoskie, czeskie; Debussy'ego: Noël des enfants qui n'ont plus de maison" oraz utwory poetyckie: Stanisława Balińskiego, Mariana Hemara, Jana Lechonia i Antoniego Slonimskiego

przy fortepianie

ADELA KOTOWSKA

która odegra

utwory J.S. Bacha, Chopina i Francka

słowo wstępne: "O poezji koled" wygłosi

STANISŁAW BALIŃSKI

Cały dochód z wieczoru przeznaczony na Fundusz Pomocy Pisarzom w Polsce

załogi odbywa normalny nocny start, po czym zaczyna się lot właściwy. Skoro samolot, "uzyska" wysokość 3000 metrów, ukazują się gwiazdy na niebie, według których nawigator kontroluje lot i określa położenie samolotu. Niebo i gwiazdy zmieniają się jak na prawdziwym niebie, zależnie od pory nocy i przypuszczalnego położenia samolotu.

Kontrola może "wyłączać" niektóre gwiazdy, wprowadzając komplikacje w postaci częściowego lub całkowitego zachmurzenia nieba; ma możliwość równocześnie także "zmiany" wiatru na mniejszej lub większej wysokości i zależnie od tego, wprowadza nowe warunki lotu. Wiatr może być w nos, bocznicy, lub od tyłu, co wpływa zasadniczo na obliczenia szybkości. Kontrola może zaś stwarzać te wszystkie warunki tak realistycznie, że załoga odczuwa n.p. przy pikiowaniu, czy przy ostrych wirach objawy fizyczne, jak w rzeczywistym locie.

Z chwilą, kiedy noc mija, gwiazdy gasną, natomiast na dole, na ekranie pojawia się widok terenu nad którym samolot powinien się w danej chwili znajdować. Z początku widać tylko chmury, albo mgłę, potem chmury rwa się, ukazują się skrawki ziemi, jakaś droga, jakiś węzeł kolejowy, jakieś miasto z rzeką. Teraz nawigator musi wziąć do ręki mapę i prowadzić lot według terenu. Rzecz

UPROSZCZONY PODRĘCZNIK JĘZYKA POLSKIEGO DLA SAMOUKÓW

V. SWICZ

"FIRST STEPS IN POLISH"

ukazał się w druku.

Do nabycia w księgarniach polskich

cena sh. 4/6.

Głos krytyka angielskiego: "This is not only a grammar, but an entirely new presentation of a language".

jasna, do tego rodzaju zadań potrzeba zdjęć milionów kilometrów kwadratowych rozmaitych terenów, zdejmowanych na rozmaitych wysokościach.

Lot zbliża się ku końcowi. Następuje lądowanie. W kontroli załoga znajduje najdokładniejsze dane, dotyczące odbytego lotu i porównuje go ze swoimi. Są przeważnie bardzo rozbieżne. Bowiem także i w życiu zdarzają się zawsze duże rozbieżności między tym co załoga myśli, iż się dzieje, a tym co naprawdę się dzieje.

W ten sposób rozwiązano w bardzo pomysłowy sposób sprawę szkolenia w praktycznej nawigacji bez potrzeby rzeczywistego lotu. Jednak trzeba pamiętać, że żadne, nawet najbardziej zbliżone do rzeczywistości urządzenia techniczne nie dadzą się porównać z prawdziwym lotem, bowiem wyłączony jest jeden z najważniejszych czynników — czynnik emocji i ryzyka, który bardzo poważnie wpływa na wykonanie zadania.

Często słyszy się pytanie, czy Pld. Anglia nigdy już nie będzie bombardowany z powietrza, nie tylko dziwozłami V.1 i V.2, lecz tak jak dawniej: uczciwymi samolotami, kierowanymi przez żywą załogę. Niewątpliwie leżałoby w interesie niemieckim, by takie bombardowania, niezależnie od bombardowań broniąmi dalekosiężnymi, na nowo podjąć i prowadzić.

Jednak, jak się wydaje, Niemcy zlikwidowali swe ciężkie lotnictwo bombowe, przynajmniej go jakoś nigdzie od 2-ich miesięcy nie widać.

Niemniej istnieją po stronie niemieckiej pewne możliwości ataku na Londyn zwykłym lotnictwem. Od dłuższego czasu do wszelkich bombardowań Luftwaffe używa szybkich myśliwców propulsyjnych, jak n.p. Me /Messerschmitt/ 262 — ich szybkość stanowi dla nich najlepszą obronę, precyzyjnie bombardowań nie przedstawiają nic do życzenia.

Dotychczas wszystkie znane nam samoloty niemieckie o napędzie propulsyjnym mają bardzo ograniczony zasięg. Jeżeli jednak niemiecka technika lotnicza zdoła zasięg tych samolotów rozszerzyć — Londyn może przeżyć nowy okres nalotów i to nalotów dziennych.

M. J. GORDON

Po czterech latach

Wywiad z Ministrem Obrony Narodowej

Cztery z górą lata dzieli nas od chwili, gdy pełni zniechęcenia do kontynentu i do najstarszego, zdawało by się, najwierniejszego na kontynencie sojusznika, opuszczaliśmy brzegi Francji. Byliśmy pełni goryczy; temu nikt nie może się dziwić. Byliśmy bardzo rozczarowani; to również jest zupełnie zrozumiałe. Byliśmy jednak posłuszni komendzie niezapomnianego Wodza — generała Sikorskiego — i rzuconemu hasłu: "Bitwa o Francję przegrana! Odskończyć na następną pozycję!" Uczyniliśmy to, i tu zaczyna się nowy rozdział walki wojska polskiego o Polskę na obczyźnie. Rozdział ten doprowadził na razie do powrotu do Francji i dalej, na szerszy front.

Minister Obrony Narodowej, generał Kukiel, odbył w ostatnich tygodniach dawno zamierzoną podróż na kontynent, gdzie realizuje się ważna faza odtwarzania naszych Sił Zbrojnych. General chciał udzielić nam wywiadu i podzielić się wrażeniami z bytności na kontynencie.

— Jaki był główny cel podróży Pana, Panie Generale?

— Chodziło mi przede wszystkim o osobiste zetknięcie się z prowadzoną na kontynencie akcją zaciągową. Wszyscy, nie tylko Polacy, ale i Sprzymierzeni, doceniają jej znaczenie. Polska, bez względu na doznane straszliwe ciosy i na fluktuacje polityczne, stanowi potencjalnie poważną siłę militarną i może ją wzmocnić bardzo znacznie, jeżeli postawiona będzie w sprzyjające pomnożeniu tej siły warunki. Nie potrzeba tego bliżej uzasadniać.

Akcja zaciągowa na kontynencie przygotowywana była w Ministerstwie Obrony Narodowej od blisko dwóch lat. Jednocześnie, przy naszym udziale, przygotowywano ją w terenie, pod okupacją wroga, przez niepodległościową organizację podziemną i jej organy wojskowe. Praca objęła w szczególności Francję i Belgię.

Wszystkim pracownikom Ministerstwa Obrony Narodowej wiadomo, jak wielką wagę przywiązywał do tej akcji ś.p. generał Sikorski, podobnie, jak i jego następcy, generał Sosnkowski. Największą troską otaczał te akcje Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd. Z tego pokoju, gdzie w tej chwili rozmawiamy, odprowadzaliśmy osobiste wielu emisariuszy, którzy szli w teren, już to okrzędną, przez zieloną granicę, już to drogą spadochroniarską. Możemy być z nich dumni. Wszyscy, z płk. Zdrojewskim-Danielem na czele, wypełnili swe zadanie bez reszty. Niektórzy przypłacili to męczarniami lub zgonem. O pracy samej organizacji podziemnej we Francji i jej wybitnym kierowniku, obecnym ministrze pełnomocnym Kawalkowskim, dużo już doszło do wiadomości publicznej. Nie będę tego powtarzał. Natomiast rozumie Pan, jak wielkim wzruszeniem musiało mnie napawać zetknięcie się w wyzwolonej Francji z naszymi towarzyszami pracy, którzy do tego wyzwolenia czynnie przyczynili się ręką. Wśród nich spotyka się co chwila takich, którzy po przejściu najstraszniejszych katuszy, wyzwoleni niemal cudem, znów z pełną energią służą ojczyźnie.

— To — nasi żołnierze, niczym nie złamani i nasi działacze podziemni. Ale jak ogół ludności polskiej we Francji przetrwał okres niemieckiej niewoli?

— Było to naszą wielką troską. Ludność w kraju oparta jest o ziemię rodzinną i o ojcowski stan posiadania, w innej zupełnie sytuacji jest ludność emigracyjna. Jednakże, gdy wyjeżdżałem w roku 1940 z Francji, wierzyłem, że próbę tę, ciężką nad wyraz, emigracja polska we Francji przetrwa mężnie i nie podda się klęsce i zwątpieniu. Istotnie dała ona dowody niezłomnego patriotyzmu, wielkiego poświęcenia i dyscypliny narodowej. Miałem sposobność widzieć niektórych przedstawicieli tej emigracji, a w jednym z obozów — ojców, matki i rodziny naszych ochotników. Trudno wyrazić, ile z tych ludzi promieniuje umiłowania Polski, wiary w nią, ofiarności i ufnej przywiązania do prawowitej władzy Rzeczypospolitej oraz jej sił zbrojnych.

— Jak w tych warunkach, Panie Generale, idzie zaciąg ochotniczy?

— Można odpowiedzieć jednym słowem: idzie świetnie. Były duże opóźnienia z powodu przeszkód technicznych i materiałowych, nieodłączne od warunków wojennych.

Ochotnicy częstokroć czekali długo na przyjęcie, nieraz w bardzo ciężkich okolicznościach. Mogło to niejednokrotnie zrazić ich i zmrozić ich zapał. Jednak to nigdy nie miało miejsca. W obozach naszych są jeszcze i dziś materialne niedomagania i braki, stopniowo usuwane. Ale jest ochoczość i wiara wśród coraz nowych zastępów napływającej młodzieży, jest dobra, serdeczna, ojcowska opieka naszych kadr obozowych, częściowo stąd wysłanych, częściowo wyłonionych na miejscu przez organizację wojskową. Wśród ochotników panuje niecierpliwe, ragnienie prędkiego wcielenia do szeregów walczących, a gdy idzie o wybór broni — chcieliby wybierać rodzaje najbardziej niebezpieczne i wymagające osobistego męstwa.

— Czy wśród ochotników spotyka się samą młodzież?

— Przeważnie młodzież. Stan fizyczny jest wyborny, zwłaszcza na północy. Są to przeważnie synowie górników i innych robotników, którzy zazwyczaj sami ciężko już pracowali. Są też bardzo młodzi chłopcy, których do Francji zagłębły wypadki. Ale są i starsi. Pośród nich spotykamy wielu dawnych żołnierzy, towarzyszy broni z tamtych wojen o Polskę, byłych powstańców wielkopolskich i górnośląskich. Jakaż rozpacz, gdy odrzuci ich komisja poborowa, ze względu na wiek lub zdrowie! Zdarzają się też nasi żołnierze wrześnie, oswojonych z niewoli, oficerowie i szeregowi Armii Krajowej, którzy jeszcze przed kilku miesiącami walczyli n.p. na Wileń-

szczyźnie, a później przez niemieckie obozy jeńców czy obozy koncentracyjne dostali się na zachód i tu odzyskali wolność. Dokonywa się w tych obozach przejściowych wspaniałe amalgame o niezwyklej tęgości moralnej.

— A jakie są stosunki Polaków z Francuzami? Dochodziły tu wiadomości o przesładowaniu Polaków przez niektóre grupy maquis.

— Symbolem istotnych stosunków było dla mnie zetknięcie się w ambasadzie polskiej z młodzieńkim generałem francuskim, jednym z dowódców ich armii podziemnej, i z pięciu pułkownikami, których w związku ze wspólnie toczoną walką miałem zaszczyt dekorować w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej krzyżami "Virtuti Militari" i "Walecznych". Widziałem na odwrót odznaczenia francuskie na piersiach naszych młodych dowódców organizacji wojskowej P.O.W.N. Między nimi zapamiętałem młodego robotnika, mianowanego przez dowództwo francuskie oficerem za świetne dowodzenie kompanią na polu walki. Udział czynny naszych oddziałów w akcjach *Forces Françaises de l'Intérieur* wytworzył nową tradycję braterstwa broni w walce za wolność ich i naszą. Doznajemy też od Francuzów wiele przyjaźni i pomocy. Jeśli były objawy wrogości ze strony pewnych grup w stosunku do naszych działaczy i organizacji, to nie mają one nic wspólnego z odradzającą się pod przewodnictwem gen. de Gaulle Francją.

— To — Francja, Panie Generale.

Czy Pan General dotarł i dalej, mianowicie do naszych sił, walczących na froncie?

— Naturalnie. Francja interesowała mnie, jako największy obecnie rezerwuwar naszych zasobów ludzkich, ale celem Niemniej ważnym mojej podróży było dotarcie do naszych sił walczących. Zetknąłem się z wielką radością z naszym zgrupowaniem lotniczym i widziałem dywizyjony myśliwskie przy pracy w toku operacji. Z polecenia Pana Prezydenta dokonałem dekoracji wielu lotników.

Następnie spędziłem niezapomniane dwa dni z naszą Dywizją Pancerną, którą zastałem nieco już wypoczętą po świętej studniowej kampanii i przygotowującą się do dalszych bojów. Miałem możliwość zapoznać się szczegółowo z jej ostatnim okresem działań, na mapie i w terenie. Mogę śmiało stwierdzić, że zadania, które Dywizja nasza zwycięsko rozwiązała, należały do najtrudniejszych chyba terenowo działań, jakie mogły być postawione wielkiej jednostce, i w dodatku jednostce pancernej. Te niewypowiedziane trudne zadania zostały pokonane nad spodziewanie szczęśliwie, dzięki odwadze i zręczności dowódców oraz ich podkomendnych, doskonałemu zgraniu wszystkich broni i środków walki. Muszę zresztą zaznaczyć, że gen. Maczek i podlegli mu dowódcy nie mają słów dla wybornej współpracy wojsk sprzymierzonych, a w szczególności dla potężnego wsparcia ogniowego, danego przy sforsowaniu przedmościa Moerdijk w ostatniej walce.

Bilans dotychczasowej kampanii, mimo nieuniknionych ofiar i ubytku, ze stratą wielu drogich towarzyszy broni, jest nad wyraz dodatni. Żołnierze Dywizji mówią o szczęściu żołnierskim swego kochanego dowódcy, gen. Maczka. Szczęście takie dowódca nosi w sobie. Źródłem jego jest własna siła — duchowa, odwaga i rozważa, umiejętność, wola walki i miłość żołnierza. Muszę też stwierdzić, że pod rozkazami gen. Maczka, walczą pierwszorzędnymi dowódcy oddziałów, którzy wraz z nim w Polsce byli pionierami motoryzacji i opancerzenia. Egzamin bojowy zdali w Polsce i we Francji, w latach 1939 i 1940; obecnie zbierają plon swego doświadczenia bojowego.

— Znała jest nam wartość "bloody Polish SS Division". Ale jak przedstawia się jej zgranie z różnymi siłami Sprzymierzonych?

— Od pierwszego zetknięcia ze znakomitymi generałami amerykańskimi i brytyjskimi ze sztabu gen. Eisenhowera, słyszałem stale wyrazy serdecznego uznania dla Dywizji. Słyszałem je również od szefa sztabu marsz. Montgomery'ego oraz od dowódców armii i korpusu, w których skądie Dywizja walczy. Jest to więcej, niż uznanie dla obcego żołnierza, które można by przypisać wojskowej kurtuazji. Jest w tym duch prawdziwego braterstwa broni, panujący powszechnie w tych armiach wyzwolenia. Bywało, że Dywizja stanowiąła część prawdziwej międzynarodówki kanadyjsko-brytyjsko-polsko-amerykańskiej. Był to zwarty zespół ludzi, rozumiejących się na wylot, zgranych w współpracy, mających wolę wzajemnej pomocy i stanowiących moralnie jeden zastęp żołnierzy wolności narodów. Byłem głęboko wzruszony stosunkiem, pełnym przyjaźni i zaufania, jaki łączy naszych dowódców z przelotnymi i kolegamy brytyjskimi, kanadyjskimi i amerykańskimi.

— Słowo jeszcze, Panie Generale, o stosunku ludności krajów wyzwolonych, Belgów i Holendrów, do naszych żołnierzy.

— Stosunek ten jest wzruszający. Ludność wdzięczna jest nie tylko za wyrzucenie grabiących ją i uciskających Niemców, ale i za dobrze dostrzeżoną troskę gen. Maczka i podległych mu dowódców, aby oszczędzić miasta i wsie, a ogień burzący stosować tylko w ostateczności, gdy lekki sprzęt i czołgi nie mogą złamać oporu nieprzyjaciela. W Belgii, specjalnie pod Roulers, były objawy ofiarne współdziałania ludności z naszym wojskiem. To współdziałanie w bitwie było okropnie krwawe. Wszędzie daje się zauważyć zapał i głęboka przyjaźń, która niewątpliwie zostanie na długo, jeżeli nie na zawsze. Miasto Breda ofiarowuje sztandar jednemu z pułków Dywizji; i ono, i inne miasta udzieliły obywatelstwa honorowego całej polskiej Dywizji Pancernej. Napisy "Dziękujemy wam, Polacy, za wolność" czytałem nie tylko w Bredzie, ale i gdzieindziej. Ludność jest ciężko i głodno, ale to nie osłabia jej zycielności i gościnności. Ze swej strony nasi żołnierze dożywają wszędzie dzieci, a ostatnio ze swych rąk urządził obchód św. Mikołaja dla dziatwy uwolnionych miejscowości.

— Jaki sens moralny wyciąga Pan General z tej walki, toczony tak daleko od Kraju i w chwili, gdy Kraj prowadzi z wrogiem sam na sam nieustępliwą wojnę?

— Wracam ze wzmocnioną wiarą w doniosłość pracy wojennej naszych sił zbrojnych i w wartość jej dla przyszłości. Wartość ta zdaje mi się wybiegać daleko za wydarzenia chwili. Wracam również z umocnioną wiarą w wielką potencjalną siłę narodu polskiego, która w miarę oswojania kontynentu będzie się wyzwalała i narastała, przy czym jednoś woli, ofiarności, posłuszeństwo rozkazom, wydawanym legalnie w imieniu Rzeczypospolitej, przetrwają każdą próbę. Cokolwiek dzieje się na ziemi naszej, Polska istnieje i będzie istniała, jako państwo, uczestniczące w wojnie i potencjalna, poważna siła. Musi być poczytywana za użytecznego sojusznika, zasługującego na uznanie.

Truciciele i tchórze

Los nie szczędził nam ciężkich przejść w ostatnich dwóch latach. Przeżyliśmy kilka niebezpiecznych zakrętów, przeszliśmy i przechodzimy teraz przez mroczne, brzemienne ciężkimi chmurami dni. Szarpną nas, targają, grożą nam, radzą "dobroliwie", kłają i ukrywają.

Niejednemu żołnierzowi, któremu obce są arkana polityki, nie raz i nie dwa rozpacz zalewa serce, a umysł ogarniają różne wątpliwości. Życie i służba tak wiele wymagają stawiają żołnierzowi. Gdzie tu czas na spokojne myślenie, na trzeźwy, zimny rachunek naszych "ma" i "winien" politycznych? Żołnierz dając swój ciężki trud, dając zdrowie i krew, a nie jeden — dając swe życie, wierzy w uczciwość i szlachetność ludzką. Nie może zrozumieć w swym ofiarnym, nie upozorowanym i nie wyrozumowanym oddaniu się służbie dla Polski, że są ludzie podli, którzy będą zerować na jego nieświadomości, na prostolinijności jego myślenia i na uczciwym przyjmowaniu tego, co słyszy lub co czyta, za dobrą monetę.

Ci ludzie podli wiedzą, o! jak dobrze wiedzą, że nasze Siły Zbrojne są w obecnych warunkach oderwania od Macierzy najważniejszą i najmocniejszą naszą legitymacją, bo pieczęcie i wize na jej kartach są pieczętowane najcenniejszym aramentem — bo krwią naszą. Wiedzą oni, że załamanie się wiary wśród cywilnego społeczeństwa, że kryzys rządowe lub partyjne — to wtykanie palek w kół naszego wozu, pnącego się ciężko pod górę. Ale tym bardziej wiedzą, że rozbięcie Sił Zbrojnych i załamanie ich wiary, jedności i wierności służbie — że to dopiero byłby ostatni cios siekiery, ten cios, po którym drzewo musi się zwalić.

Wiedzą i działają. Każdy środek jest dla nich dobry. Żerują na naszym przemęczeniu, na naszej tęsknocie do Kraju, na niepokoju o najbliższych, na rozpaczliwej utracie, na naszych zwątpieniach i obawach. Żerują na drobnych, ludzkich zawiściach i ambicjach, których wleci nie jest w stanie się pozbyć — bo to przecież jest ludzkie. Żerują na podziałach partyjnych, klasowych, dzielnicowych, na naturalnych i nieuniknionych różnicach położenia materialnego. Żerują na

wszystkim, co im wpadnie pod rękę, na każdej najdrobniejszej okazji, bo wszystko dla nich dobre, co ma w sobie ból, gorycz, zawód lub wprost niezaspokojone aspiracje. Sączą tę truciznę w żołnierskie dusze, czasem podając dawki bardzo silne, czasem tylko po kropelce. Aby tylko zatruwać, zatruwać ciągle i każdego, bo trucizna przecież kiedyś osabi nawet najmocniejszy organizm. A wówczas — wystarczy już jeden tylko cios, aby dobić śmiertelnie.

Żołnierz bardzo często nie wie, że po yka tę truciznę. Podana mu jest w takiej postaci, że odkryć ją trudno. Między słowami na pozór pełnymi troski o Ojczyznę, między słowami, zdawało by się, nabrzmiałymi bólem serdecznym o przyszłość Polski, między rozdzieraniem szat nad brakiem uczciwości i zrozumienia prawdziwego dobra narodu u tych czy innych mężów stanu — przewija się ledwo dostrzeżalna strużka jadu: wszystko w polskim życiu jest złe, sprzedajne, zgnile, zarażone myślą o prywatnie i o interesie klikki, wszystko działa na szkodę Polski. Ci "zbawcy Ojczyzny" nie stawiają kropki nad "i", nie są na to zbyt sprytni. Nie dochodzą do wniosków, gdzie należy szukać zbawienia, kogo należy "uprosić" o ujęcie steru nawy polskiej w ręce. Na razie — tylko zatruć, zabić wiarę, zasiał nieufność i zniechęcenie, wzbudzić zwątpienie i nienawiść. A potem — w swoim czasie, gdy ofiara dostatecznie "skruszeje", poknie się ją, i to z kośćmi.

Więc trują nas, trują szeregi żołnierskie, rzucając pośród nich masę bibuły, ulotek, listów otwartych, oskarżeń, biuletynów. Mieniają się raz "Kolem Obrony Rzeczypospolitej", drugi raz "Sługami Orla Białego", to znów "Gronem Lotników" albo "Kolem Żołnierzy Śląskich, Pomorskich i Poznańskich". Różnie się nazywają, aby szumnie i patriotycznie. Czyta żołnierz ich biadania nad Polską i ich oskarżenia — i na pierwszy rzut oka wydaje mu się: "oto prawdziwi synowie Ojczyzny, oto sprawiedliwi Polacy". "Częstokroć nie poczuje tej kropli trucizny. Ten i ów zaledwie spostrzeże czasem grubą nici, którą pod'a intryga jest szyta. Trzeba dopiero wczuć się w ducha tych ulotek, wniknąć w istotną treść przeczytanych słów, aby zrozumieć intencje auto-

row. A intencje te są takie właśnie, jakimi mogą być intencje każdego truciciela. Są niecne i podłe.

Czytając te ich "odezwy" niech każdy z nas pamięta, że oto właśnie "diabeł ubrał się w ornat i ogonem merda". Niech każdy pamięta, że z tych listów otwartych, które się znajdują opar o słodkim zapachu Ojczyzny, że ten opar wchłonięty w pucą rozłoży je, zatruje naszą krew i cały organizm.

Czy nie uderza Was, koledzy, ta okoliczność, że pod żadnym z tych listów otwartych, czy jak je tam nazwiemy, nie ma podpisane go imienia? Dlaczego to? Boisz się, patrioto jeden, podpisać swe nazwisko? Jakże to? Idziesz ze swoimi patriotycznymi wołaniami do żołnierza, który nie nie ukrywa, który ma serce na dion, który sprawiedliwości i prawdy szuka, o tę prawdę i sprawiedliwość się bije — idziesz do niego, a ukrywasz swe prawdziwe imię? Ten żołnierz, na którego swą sieć pałęją zarzucasz z ukrycia, jutro być może już zginie i stanie przed wieczną, nieznaną Prawdą, a ty boisz się powiedzieć mu twoje prawdziwe imię i odkryć twoje prawdziwe cele?

Więc żołnierz ci odpowiada, "patrioto": "tchórz jesteś, podły, nieczestny tchórz! kłamca jesteś, chytry i podstępny kłamca! diabłu służysz, wrogowi służysz, a nie Polsce! Precz ode mnie, tchórze i trucicielu!"

Taka jest nasza, Polski walczącej, odpowiedź. Żołnierz wie, że jest najgorszym wrogiem wrogów Polski. I wie, że wrogowie Polski nie zawahają się użyć każdego środka, aby go zatruć i potem wyrzucić mu broń z młodej dłoni. Wie i będzie się strzegł tej trucizny, bodaj w najsłodszy nektarze podanej.

Miejcie więc odwagę, "patrioci" i "obroncy" Polski, unieście przyłbicy i powiedzcie nam, żołnierzom, wasze prawdziwe imię, gdy przychodzą do nas ze s'odką trucizną na dloni i sztyletem w zanadrzu.

Wiemy, że tej odwagi wam zabraknie, bo jesteście truciciele i tchórze.

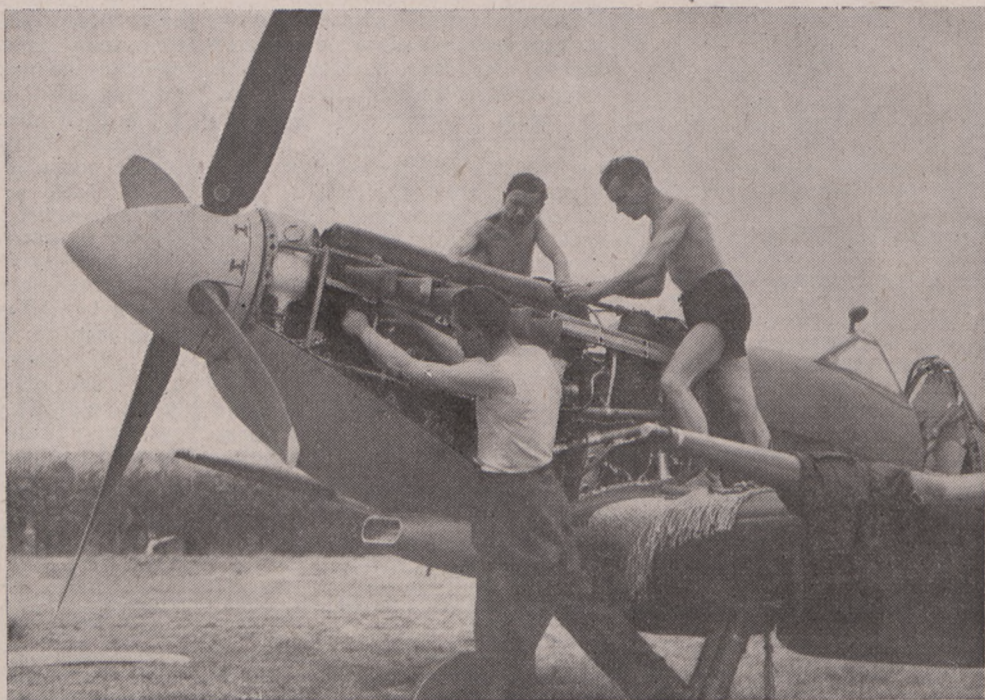
I wiemy to, że my broni z ręki nie puścimy, a wartych szeregów rozbić nie damy.

Lotnictwo polskie na Zachodzie

Ja i moja "gitara" . . .



Przegląd silnika



Dodatkoīwe zbiorniki paliwa



Niemcy zostawili nam trochę bomb



"Dariusz" gotuje się do lotu



A jednak dociągnął z powrotem do bazy



Generalne pranie



W Belgii nie brakuje owoców



Myśliwcy z bombami

Brzmiało z litewska nazwisko tego młodego i już bardzo zasłużonego dowódcy myśliwskiego skrzydła, które na kontynencie wspiera działania naszej dzielnej "czarnej" dywizji pancernej, wydało mi się dobrze znajome. Co więcej: powiało odeń na mnie grozą. Pewien wysiłek pamięci!

—Czy pan, panie pułkowniku, nie miał w Warszawie krewnego, matematyka, jeszcze w czasach przedstrajkowych?

—Owszem, miałem. Ja sam urodzony jestem aż na Syberii, ale w Warszawie był krewny ojca, nauczyciel w gimnazjach rządowych.

Otóż to właśnie. Autor zbioru zadań arytmetycznych, nad którymi biedni sztabacy łamali sobie głowy. Zdaje sobie sprawę z wrażenia grozy. Tamten dawał łamiącym matematyczne, a ten zadał łamiącym lotniczą. Lotnik nie lubi — i słusznie — żeby laik wtrącał się w jego sprawy. Ale pułkownik umie się uśmiechać. To dobrze. I przyprowadził z sobą gromadkę swoich chłopców w niebieskich mundurach. Spróbujemy.

NIE NA NIEBIE, ALE NA ZIEMI

—Lotnictwo myśliwskie — zaczyna pułkownik — walczyło dotąd w powietrzu. Toczyło bój z samolotami przeciwnika, osłaniało wyprawy bombowców własnych. Nasze obecne zadanie jest inne. Wobec tego, że opór w powietrzu zelżał, a czasem wcale go nie ma, kazano nam szukać przeciwnika na ziemi.

Działamy jak bombowce, zwalczając na ziemi wskazane nam cele. Różnica polega na tym, że mamy mniej bomb i że działamy, jako bezpośrednie wsparcie własnych oddziałów lądowych.

Bombardujemy nieprzyjaciela w ruchu i w umocnieniach. Wydłużamy w ten sposób nasz ogień, który może paść tam, gdzie ogień artyleryjski nie dotrze lub dotrzeć nie zdąży. Nasza szybkość i zwrotność powietrzna pozwala nam druzgotać cele umocnione, ułatwiając w ten sposób zadanie broni pancernej i piechocie. Naturalnie, prócz bomb, używamy karabinów maszynowych i działek, w które jesteśmy uzbrojeni.

—Jak dawno jesteście w tej robocie?

—Znaleźliśmy się na kontynencie w cztery tygodnie po rozpoczęciu inwazji. Przelecieliśmy całą północno-zachodnią Francję, Belgię i walcymy teraz w Holandii, ciągle wspierając wojsko. Rozpoznawaliśmy, zwalczaliśmy artylerię nieprzyjacielską, jego gniazda oporu, burzyliśmy bombami mosty na bliskim zapleczu, tory kolejowe oraz wszelkie transporty. Działając w składzie armii kanadyjskiej, mogliśmy wspierać naszą dywizję pancerną. Sądźmy, że była i jest z nas zadowolona.

—Gdzie była najcięższa robota?

—Bodaj przy likwidowaniu oporu na wyspie Walcheren. Trzeba tam było przygotować teren do uderzenia: przed przybyciem komandosów osłabić artylerię nieprzyjacielską i zdeorganizować obronę. W ciągu dwóch dni wykonaliśmy po pięć lotów dziennie, zamiast po dwa, tak, że wypadło po dwanaście lotów na dywizjon.

—Czy opór był silny?

—W powietrzu oporu nie było. Natomiast, zwłaszcza z początku, był bardzo intensywny ogień karabinów maszynowych i artylerii lekkiej. Właśnie na tym polega zmiana naszych warunków walki, że nieprzyjaciela mamy nie w powietrzu, lecz na ziemi. Walczymy z ogniem z ziemi, więc i ten ogień nas zwalcza. W tej jednak operacji straty mieliśmy bardzo małe. Tak się zdarzyło, że nawet piloci, zestrzeleni po tamtej stronie, po pewnym czasie dołączali. A przecież nie o aparat w ogólnym rachunku nam chodzi, tylko o pilota. Proszę pytać jednego z tych, co powrócili.

SIEDEM TYGODNI W UKRYCIU

Chorąży z dywizjonu wileńskiego opowiada:

—Wylecieliśmy we czwórce na rozpoznanie nad Holandię. Pogoda była nie najgorsza, widoczność dobra. Zobaczyliśmy na drodze ciężarówkę nieprzyjacielską. Z wysokości siedmiu tysięcy stóp zesłaliśmy nad samą ziemię. Z karabinów maszynowych i działek ostrzelaliśmy tę kolumnę, która stanęła w ogniu.

—Lecąc dalej, spotkaliśmy nową kolumnę samochodów ciężarowych i artylerii przeciwlotniczej. Jeden z nas zaatakował ją, ja zaś pocza-

łem bić w stanowiska dział przeciwlotniczych.

Wszczęto do mnie ogień; mój samolot został trafiony w chłodnicę, w silnik, a odłamkiem dostałem w kabinę. Silnik zapalił się; dym przedostał się do kabiny. Mimo to, wyciągnąłem maszynę na tysiąc dwieście stóp i nadałem przez radio meldunek do bazy o postrzeleniu oraz o zamiarze powrotu na lotnisko.

Po kilku minutach zapytano mnie, czy jestem w porządku i radzono mi raczej skakać. Ale skakać nie chciałem, bo byłem daleko za własnymi liniami.

W dalszym locie ostrzelano mnie znowu. Silnik trafiony ponownie zaczął pracować coraz gorzej i wreszcie stanął. Leciałem z szybkością stu czterdziestu mil na godzinę. Skakać było za nisko; zawiadomiłem bazę, że ląduję. Z kopącym silnikiem wylądowałem czterdzieści mil z przodem.

Nie było czasu zrzucić ekwipunku lotniczego. Jak stałem, w tym stroju lotniczym, uciekałem na przelaz przez kanały; zrobiłem tak ze dwa kilometry. Niemcy ostrzelali mój samolot i szukali mnie, ale jakoś szczęśliwie na ślad nie

trafili.

Zaszyty w sitowiu, siedziałem trzy godziny. Pod wieczór dopiero wyszedłem i na moje szczęście natknąłem się na farmerów holenderskich. Zabrali mnie do swojej wsi, gdzie ukrywali mnie przez siedem tygodni. Potem przyszli Anglicy, i już mogłem wrócić do swoich.

—Jakże pana ukrywali?

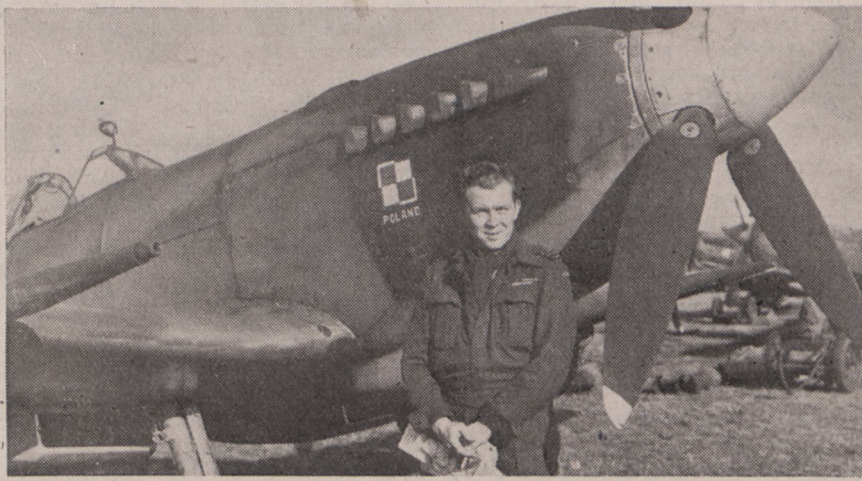
—Różnie, jak tam trzeba było, bo Niemcy zachodzili do tej wioski i systematycznie ją rabowali. Zabrano bydło, produkty rolnicze i cały dobytek. W końcu żyliśmy tylko chlebem, kartoflami i kapustą; mieszkańcy dzielili się ze mną tą ubogą strawą. Byli dla mnie jak najlepsi; nikt mnie nie zdradził, a farmerzy ubolewali, że Polska nie ma wspólnej granicy z Holandią.

—A jak się pan z nimi porozumiewał?

—Jak się dało: z kiepską po niemiecku. Zresztą przy dobrej woli człowiek zawsze drugiego wyrozumie!

JAK TO BYŁO Z POCZĄTKU

—Z początku — mówi nam jeden z poruczników-pilotów — było



„Ferring” w Holandii

Niespodziewanie spotkałem wczoraj w Londynie Faraona. Nie wiecie, co to za Faraon? — Ramzes; Ramzes bez żadnych cyfr — *tout court* — Ramzes. Ale zwykle, najczęściej, nazywają go po prostu Faraonem. Naturalnie jest to przezwisko. Nie wiem, jak powstało i z jakich przyczyn. Dość, że Faraon jest pilotem jednego z naszych dywizjonów myśliwskich, że tylko co przyjechał na urlop z Belgii, i że spotkałem go w Londynie. Wychodził właśnie z baru, ale ponieważ było wcześniej, chętnie zawrócił wraz ze mną.

—Ciągłe mi się chce pić — oświadczył, pociągając piwo. — Na kontynencie jest tylko wino, albo woda. A pragnienie można ugasić wyłącznie piwem.

Nie zamierzałem z nim dyskutować na ten temat. Niech gasi czym tam chce, byle przy tym mówił. Po drugim kuflu rozkręcił się.

—Nareszcie mamy stałe lotnisko — opowiadał. — Bo od chwili gdyśmy zaczęli lądować we Francji i stamtąd latać na zadania, człowiek żył jak cygan. To co na całe życie zapamiętałem z Normandii, to namioty, deszcz i błoto. A przy tym — co parę dni — nowe lotnisko. Startowaliśmy dwa do czterech razy dziennie na zadania. Przeważnie na bombardowanie z lotu nurkowego. O walce w powietrzu można było tylko marzyć, bo Niemcy się tam nie pokazywali. Ja przez cały ten czas nie widziałem ani jednego ich samolotu. . . . Ale bombardowanie i strzelanie do celów ziemnych, to też nie jest zła robota: za każdym razem widać skutek, a czasem wygląda to bardzo efektownie. Tylko nasi mechanicy, szczególnie zbójmistrze, ledwie mogą podolać tej robocie. Pomysł; cztery razy dziennie podwieszać bomby, ładować amunicję, nie mówiąc już o wymianie karabinów i naprawach! Z tych pochwałnych rozkazów, które otrzymujemy nasze skrzydło myśliwskie po kilka razy w miesiącu — bardzo wiele należy się mechanikom. Nie wiem, kiedy ci ludzie śpią, iedzą, myją się, odpoczywają.

—No a ostatnio — zaczął znowu po chwili /i po następnym kuflu/ — lataliśmy na „ferring”.

Nie wiedziałem, co to jest „ferring”.

—To bardzo mokra robota — wyjaśnił Faraon. — Niemcy, uważasz, w tej Holandii przeprowadzają się z wyspy na wyspę, bo albo wieją, albo wzmacniają obronę, albo dowożą zaopatrzenie. A my rąbemy te przeprawy i transporty. Im jest mokro, ale i nam też.

—A dlaczego wam mokro? — zapytałem naiwnie.

—Bo jak człowiek ma pietra, to się poci — odrzekł Faraon. — Na przykład przedwczoraj. . . Nie napilbyś się jeszcze piwa?

To było już zdaje się czwarte, czy piąte, ale chciałem usłyszeć coś o tym „ferringu”, więc powiedziałem, że naturalnie.

—Polecieliśmy tylko we czterech, z rana, bo inni poprzedniego dnia mieli więcej roboty, więc na nas po sprawiedliwości wypadła kolejka. Dołot nietrudny i nawet nie bardzo do nas po drodze strzelali, bośmy szli nisko i na dużej szybkości. Flecik prowadził, a on zajął teren wyborczy, bo cały czas wolny spędza nad mapą i kombinuje, jakie poprawki wprowadzić w linię frontu. Wyskoczyliśmy nad morze i słyszę, jak on mówi do nas przez radio: — „Za drugą wysepką skręcamy w prawo i od razu prać!” Ale „prać” to zaczęli nas, i to nie za drugą wysepką, tylko regularnie z każdego kawałka ziemi. Widzę, że Jurkowi, który leciał na lewo ode mnie, przed samym nosem rwą się pociski, więc go ostrzegam. A on mówi: — „Ty Ramzes, popatrz, co się z twoim ogonem dzieje!” Jak się obejrzałem, aż mnie pognało. Ogień szedł w kilka ściegów, akurat na mojej wysokości, i to tak szybko, że nie wytrzymałem i zrobiłem unik. Nie wiele to pomogło: pociski rozrywały się wszędzie, na każdym poziomie, na wszystkie strony; a smugi z karabinów maszynowych krzyżowały się między nami, nad nami, wzdłuż, w poprzek, jak rozwieszane w powietrzu pajęczyny. Raz po raz czułem, że szują przez stery, że idą po skrzydłach, jakby dreszczem. I — nie ma co skręcać, umykać się, bo są wszędzie; rozumiesz? — dosłownie wszędzie!

Pociągnął z kufla, powiedział: „Cho-lera!”, jakby ten tyk piwa dopomógł mu do uprzytomnienia sobie tamtych przeżyć, i spojrzal

na mnie.

—Wiesz — powiedział po namyśle — jeszcze chyba nigdy nie byłem w takim ogniu, jak wtedy. No, ale zobaczyłem też drugą wysepkę i maszynę Flecika w skrajnie nad nią. Zobaczyłem także, jak on zaraz przypikował i strzela z działek, więc mi ulżyło. Bo, uważasz, najgorsze jest to, że strzelają do ciebie, a tyś jeszcze nie zaczął i cała uwaga klei ci się do tych smug i wybuchów. Myślisz sobie: nie zdąży, bo mnie utrupią. . . . A jak już sam zaczniesz, to więcej cię obchodzi twój ogień, niż to, że i ty jesteś celem.

Więc jak tylko wyprowadziłem ze skretu — patrz — a tu ci za skrawkiem ładu szeroka woda i ze dwadzieścia łodzi, barek, tratw, pełne wojska! A po sąsiednich wyspach grzeje artyleria, tylko ziemia tryska spod ciężkich granatów. Widzę, że Flecik obrabia jakąś płaskodenną bałię z samochodami i że się tam już dymi, więc zdecydowałem się na parowy gruchot bliżej drugiego brzegu. Zaczęłem z daleka, ale celnie. Za to oni pudłowali ze swoich sikawek.

Krótko zresztą; wymiotło ich z pokładu do morza, aż bryzgi poszły dokoła. Doszedłem tak blisko, że omal nie zawadziłem o komin, wyrzuwając w górę. Po drugim ataku już się paliły jakieś nadbudówki i pokład, a na statku nie widać było żywego ducha. Nie mogłem go zatopić, bośmy nie mieli bomb tym razem, więc resztę amunicji do działek wpakowałem w tę barękę, którą napoczał Flecik, a potem jeszcze tylko pokropiłem przystań u brzegu z karabinów maszynowych i — chodu.

Najlepiej posześciło się Jurkowi, bo jego barka widocznie wiozła amunicję: wyleciała w powietrze, ledwie ją minął po ataku. Wyplątałyśmy się z ognia obrony przeciwlotniczej i dopiero wtedy się obejrzałem. Nad przeprawą już były „Thunderbolty”: zdążyłem jeszcze zobaczyć, że nurkują, pewnie z bombami. . . . A zaraz potem minęły nas trzy czwórki „Typhoonów”; pewnie z raketami. . . . Mokra robota, mówię ci! No — jeszcze jedno piwo, bo coś mi się pić chce. . .

PORUCZNIK HERBERT

morem. Naśladowaliśmy ich bez wysiłku, bo wiedzieliśmy, że jak się przełamie opór niemiecki pod Falaise, to już pójdziemy naprzód.

Miłe nam było to, że nasza dywizja pancerna tam się odznaczyła. Ale i my, lotnicy, waliliśmy skutecznie w nieprzyjacielskie wozy i w żywe torpedy — jednoosobowe okręty podwodne.

TROSKI I CHWAŁA SŁUŻBY NAZIEMNEJ

—Jeżeli każdy skok naprzód walczącego oddziału powoduje dla dowódcztwa wiele kłopotów, to cóż dopiero powiedzieć o przesuwniu lotników. Nie dosyć polecieć — trzeba przesunąć na kolach to, co stanowi nasz lotniczy aparat naziemny: wszystkie składy, warsztaty, kuchnie, sekcje, i to bez przerwy w operacjach. Powracające aparaty muszą być niezwłocznie skontrolowane i otrzymać uzupełnienie sprzętowe, aby były zdolne do użytku. Słowem, całe miasteczko, będące domem rodzinnym skrzydła, musi ciągnąć za nim, choć samo nie ma skrzydeł, i nie wolno mu się spóźnić o minutę.

I tu wychodzi na jaw olbrzymie znaczenie lotniczej służby naziemnej, jej wspaniała organizacja i praca. W pracy tej nie ma przerwy, ta część lotników, choć się o niej mało pisze i mało ją wspomina, daje przykład zgrania zespołowego i prawie nadludzkiej wytrwałości. Trzeba dodać, że jeżeli personel latający naraża się na bezpośrednie niebezpieczeństwo w walce, to i personel naziemny jest w ciągłym niebezpieczeństwie od pocisków nieprzyjaciela, godzących w lotniska i aparaty.

Z największym szacunkiem traktować należy twardą pracę personelu naziemnego. Lotnicy doceniają ją należycie, ale trzeba, aby ją doceniali wszyscy.

I kiedy podczas krótkotrwałych przerw w boju widzi się błękitne *battle-dressy* starannie odprasowane, czapki zsunięte zachowawczo na bakier, kiedy w uwolnionych od nieprzyjaciela wsiach i miasteczkach Belgii lub Holandii wszystkie oczy śmieją się do dzielnych lotników — trzeba pamiętać, że aby jedni mogli latać, drudzy muszą nieprzerwanie trwać na posterunku.

NASTROJE I BOMBY

—Gdzie was najlepiej przyjmowano? — pytamy, chciwi dla naszego lotnika tej bezpośredniej wdzięczności, na jaką zasłużył.

—We Francji bywało rozmaicie, ale też trzeba powiedzieć, że tam lotnicza działalność spowodowała straszne zniszczenie. Na ogół jednak byliśmy witani serdecznie. Nic się wszakże nie da porównać z entuzjazmem, jakiego przedmiotem byliśmy w Belgii, a teraz jesteśmy w senniej, spokojnej Holandii. Doprawdy, ci ludzie prześcigają się, aby nam usłużyć, wywdzięczyć się za wyzwolenie, dopomóc. Nie zwracają uwagi na niebezpieczeństwo, jakie może im jeszcze grozić od wroga, ale współdziałają z nami, gdzie mogą. Takie wypadki, jak ukrywanie strąconych lotników, są na porządku dziennym. Przyjmują nas jak swoich, tak, jak by nas przyjmowano w Polsce.

—Czy wiedzieliście o walkach w Warszawie?

—Naturalnie, i niemożność lecenia tam z pomocą była dla nas rzeczą tragiczną. Rozumieliśmy lepiej niż ktokolwiek, możliwości i trudności. Poza ogólną miłością dla stolicy i czcią dla jej bohaterstwa, jest między nami wielu rodowitych Warszawiaków, którzy głęboko troskają się o rodzinę. Nie załamał się jednak nikt. Nawet w tragicznym momencie zakończenia walk w Warszawie górę wziął twardy obowiązek żołnierski i chęć odpłaty wrogowi za to, co wycierpiała i cierpi Polska.

Każda nasza bomba, spadająca w Belgii, czy Holandii na niemieckie cele, wydaje nam się — i myślimy, że słusznie — pomocą dla Kraju, który walczył, walczy i walczyć nie przestaje. Pojmujemy też, że nasza walka, sumienna, skuteczna i doceniana przez współwalczących — to najlepsza odpowiedź tym, którzy chcą Polskę pomniejszyć. My jej pomniejszyć nie damy, ona zresztą sama pomniejszyć się nie da.

Dlatego lotnictwo myśliwskie, ścigające dziś nieprzyjaciela tam, gdzie próbuje stawić opór, szczególnie jest ze swego oddziału w walce i sędzi, że swój obowiązek spełnia, jak Polakom przystoi.

JAN ŚCIBOR

Serce na co dzień



Mrs. Ch. E. Robinson w kantine zorganizowanej i prowadzonej przez nią dla żołnierzy polskich

Kiedy w jesieni 1940 roku przybyliśmy na nasze szkockie m.p., nikt nie przypuszczał, że będziemy je żegnać aż w roku 1944! To co miało być miejscem postoju, stało się miejscem życia.

Wojsko jest stworzone do walki. Zbyt długie czekanie na wejście do akcji może odbić się ujemnie na wartości żołnierza. W tym krytycznym okresie wymaga on szczególnej opieki i umiejętnego postępowania. Jeżeli ponad trzy i pół letni postój na tym samym miejscu nie zostawił ujemnych śladów w naszych szeregach, jest to zasługą tak samego wojska, jak i społeczeństwa szkockiego, które otoczyło przybyszów polskich przyjazną, serdeczną opieką.

Dużo wieżów złączyło nas w ciągu tych lat. Rada Miejska chcąc podkreślić oficjalnie swój stosunek do polskiego garnizonu jej miasta

powzięła ostatnio uchwałę złożenia gratulacji gen. St. Sosabowskiemu, dowódcy wojsk spadochronowych, z okazji jego generalskiego awansu. Ruchliwe Towarzystwo

Polsko-Szkockie żegnało odchodzące oddziały ze szczerym smutkiem i każdy z żołnierzy posłyszał płynące z głębi serca: "God bless you" /Niech Was Bóg błogosławi/. Obok sztandaru polskiego będzie zawsze powiewał nad naszymi szeregami piękny proporzec ofiarowany przez kobiety hrabstwa Fife.

Wśród tych wszystkich dowodów przyjaźni warto uwypuklić szczególnie jeden — dyskretny, cichy, pozbawiony zewnętrznych efektów, lecz jakże imponujący i szlachetny w swoim codziennym wysiłku, trwającym całym latami.

Ledwo po przybyciu na nowe m.p. w r. 1940 rozpakowaliśmy nasze smętne ewakuacyjne bagaże, a już w społeczeństwie miejscowym zakiełkowała myśl stworzenia dla żołnierza polskiego namiastki dalekiego domu. Inicjatorką i duszą tego przedsięwzięcia była Mrs. Charity Elizabeth Robinson, piękna, czarująca pani o fantastycznie pogodnym usposobieniu.

Brytyjczycy mają ten trochę dziwny dla nas zwyczaj, że jeżeli coś postanowią, to zrobią na pewno. Tak też się stało. Po

trzech miesiącach borykania się z biurokratycznymi trudnościami, po zdobyciu lokalu i urządzenia, ofiarowanych bezinteresownie przez miejscowych obywateli, powstała "Kantyna Polska". 9 stycznia 1941 roku można było w niej wypić pierwszy "nice cup of tea".

Kantyna umieściła się w skromnym posklepowym lokalu. W pierwszym pokoju stanęły stoliki i krzesła; książki, tygodniki, gazety spiętrzyły się na półkach, a z kąta odezwało się radio. W drugim pokoiku bufet rozjaśnił się bogactwem przysmaków. Stała za nim uśmiechnięta Mrs. Robinson, mając do pomocy grono miejscowych pań spod znaku W.V.S.

To wszystko. Ba! Ale kiedy w roku 1944 o-puszczaliśmy miłe miasto, w tymże pokoju, za tą samą ladą uśmiechała się do nas ta sama Mrs. Robinson i te same jej dzielne współpracowniczki. Warto zapamiętać nazwiska szczególnie tych pań, które obok Mrs. Robinson i jej córki do ostatniego dnia naszego pobytu systematycznie pełniły dyżury, do czego zobowiązały się wspólnie przed

trzema z górą laty! Są to: Mrs. Murray z córką, Mrs. Hamilton, Mrs. Reid z córką, Mrs. Morton, Mrs. Fearby z córką, Mrs. Balfour i Miss Shephard. Mrs. Morton i Miss Murray obok swojej pracy w kantine pełniły stale i bezinteresownie uciążliwe obowiązki kierowniczy ambulanśów "Czerwonego Krzyża" w wojsku polskim.

Dzień otwarcia kantyny stał się rocznicą obchodzoną hucznie i wesoło tańcami i poczęstunkiem, na które zapraszano wszystkich żołnierzy polskich garnizonu.

Obchodziliśmy trzy takie rocznice. Ściany kantyny pokryły się rysunkami wykonanymi przez żołnierzy; przrósł jeszcze jeden pokój, ufundowany przez Polską "Imkę"; Mary, córeczka Mrs. Robinson na naszych oczach wyrósła na miłą panią; kadrowa brygada rozbitków z ewakuacji francuskiej rozrosła się i przeobraziła w bojową jednostkę wojsk spadochronowych; Wielka Brytania przekreśliła wspomnienia Dunkierki zwyciężskim wyładowaniem na brzegach Francji; — a w Kantine Polskiej dzień po dniu, dzień po dniu te same panie szkockie witały nas tym samym przyjaznym uśmiechem, pogawędką i "nice cup of tea".

Niby drobna rzecz: trochę dobrej woli i serca na co dzień dla żołnierza armii sprzymierzonej. Ale kiedy tych dni jest ponad 1250 /!/, bez najmniejszej przerwy lub usterki, wtenczas z tych drobnych rzeczy urasta wielki, szlachetny czyn.

Jest to jedna z tajemnic siły narodu brytyjskiego. Dla nas pozostanie nie tylko wdzięcznym wspomnieniem, ale także wzorem do naśladowania.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Następny numer /51 — 52/ "Polski Walczącej" ukaże się we wtorek dnia 19-go b.m. rano. Administracja prosi uprzejmie o podjęcie przesyłek w tym dniu względnie następnym /środa 20-go rano/ oraz o telegraficzne zapotrzebowanie dodatkowych egzemplarzy.

Numer wigilijny o podwójnej objętości /16 stron/ będzie zawierał: Stanisława Szurleja: "Dzień wiarę", Andrzeja Pomiana: "Warszawska Gwiazdka", Marii Brzeskiej: "Wigilia w Generalnym Gubernatorstwie", Tadeusza Jerzego Bulsiewicza: "Rozmowa z Obcą Panią", felieton Wacława Grubińskiego: "Rekopis sprzed 1846 lat", fragment niedrukowanej powieści Marii Kuncewiczowej: "Antonina opowiada o Niemcach", opowiadanie Bolesława Pomiana o przelocie ferry-pilota nad Indiami, Aleksandra Janty: "Czołg nazywał się Poznań", Tadeusza Horki i Macieja Feldhuzena: "O żołnierzach Dywizji Pancerniej", reportaż Andrzeja Stockera o polskich okrętach wojennych: "Sokołeta i Warchłaki", utwory poetyckie: Antoniego Bogusławskiego, Ryszarda Kiersnowskiego, Jerzego Faczyńskiego, Mariana Hemara, Marii Pawlikowskiej, Jana Rostworowskiego, prace plastyczne: Jerzego Faczyńskiego, Janiny Konarskiej, Stefana Osieckiego, Feliksa Topolskiego /18 rysunków z pobytu wśród Polaków we Włoszech, w Palestynie, Egipcie, Indiach i Burmie/, "Werinajsek Świąteczny" w opracowaniu Tony'ego, liczne fotografie, oraz zestawienie treści za rok 1944.

Antoni, przyjaciel Normana

Ze rzeczywistość potrafi sprawić figla ludzkiej wyobraźni, że jej bieg, splot wypadków prześciga czasami najbardziej rozhuśtaną fantazję, przykładem tego niechaj będzie następująca historia z "prawdziwego zdarzenia". Są to przeżycia ostatnich kilku lat młodego Polaka, włozonego siłą w szeregi armii niemieckiej i wziętego do niewoli we Francji.

Nasz bohater urodził się, żył i pracował na gospodarstwie swych rodziców w Polsce Zachodniej. Tam zastał go, wówczas siedemnastoletniego chłopca, wybuch wojny.

Przeżycia Antoniego S. i jego rodziny w tym okresie nie różnią się od przeżyć milionów Polaków — upokorzenia, terror i gwałt. Minęła zima 1939/40, przyszła wiosna, inwazja i upadek Francji. W okresie radosnego i hałaśliwego świętowania przez miejscowych żołnierzy i urzędników niemieckich "końca zwycięskiej wojny" — do wsi pewnego dnia zajechały dwa szare, ciężarowe samochody. Wysypały się z nich na wiejską drogę, obdarte, obszarpane a często bose i obandażowane postacie ludzkie.

Dowódca konwoju ze śmiechem objaśnił zaciekawionemu tłumowi kobiet i dzieci, że to jeńcy angielscy wzięci do niewoli we Francji. Jeńcy z wysoko podniesionymi głowami, pełni obojętności i nie patrząc na nikogo, bez komendy ustawili się w dwurzędzie.

Wkrótce na końcu wsi zbudowali obóz, z trzech stron otoczony drutami i zamknięty od tyłu ścianą szopy, w której spali. Wycięte prostokąty w ścianach szopy, zastępujące okna, zabezpieczono żelaznymi kratami. Niemiecka drużyna wartownicza, złożona z żołnierzy starego już rocznika — mieściła się w pobliskim dworze. W kilka dni po przybyciu, jeńcy zaczęli chodzić do pracy na roli.

Polacy, ludność miejscowej wsi, przed wojną bardzo bogatej, roztoczyli nad jeńcami serdeczną opiekę. Podrzucali maszerującym lub wtykali pracującym wspólnie na roli jeńcom papierosy, jedzenie, a ponieważ byli tacy, co nie mieli czapek lub butów — ofiarowywali nakrycia na głowę, części garderoby i buty. Był to okres szczególnie ciężki dla jeńców, bo paczki Brytyjskiego Czerwonego Krzyża

jeszcze do jeńców nie dochodziły. Mimo przeszkód językowych, mimo brutalności strażników niemieckich, między ludnością a jeńcami szybko nawiązała się serdeczna przyjaźń.

Strzegącym ich Niemcom, jeńcy na każdym kroku okazywali pogardę i lekceważenie. Bardzo zdyscyplinowani, bardzo dbający o wygląd zewnętrzny, w miarę możliwości starali się dokuczyć otaczającym ich Niemcom. Zmuszeni do pracy, bardzo skrupulatnie przestrzegali przepisanych godzin. Gdy nadchodził czas przerwy lub gdy nadeszła godzina, określająca koniec zajęć dziennych, rzucali pracę bez względu na jej stan. W rozmowach nigdy nie pozostawali dłużni otaczającym ich Niemcom. Ci ostatni, chcąc dokuczyć Brytyjczykom, witali ich "Heil Hitler." Odpowiedź zawsze była jedna "Heil Churchill." Nienawiść i pogarda okazywana Niemcom wyrażała się n.p. w takim postępowaniu: gdy jeńców mijal pogrzeb niemiecki, przechodzili obojętnie lub nawet odwracali się do niego tyłem. Gdy mijal ich pogrzeb polski — każdy jeńiec stawał na baczność i salutował

trumnice.

Minęło kilka miesięcy. Jeden z jeńców pracował w kuchni i przy pomocy dostarczonych mu narzędzi zdołał w jednym z okien szopy przepiłować kratę, tak że mógł potajemnie wyjść z obozu. W dzień krata była umocowana na swoim miejscu, lecz gdy zbliżała się noc i strażnicy rozeszli się po kontroli na kwatery, część jeńców chyłkiem wydostawała się z obozu. Ponieważ wielu z nich zaprzyjaźniło się z Polakami, otrzymywali zaproszenia do domów, by porozmawiać, ogrzać się, zjeść coś gorącego, dać bieliznę i ubranie do naprawienia i prania.

Rodzina Antoniego S. szczególnie zaopiekowała się młodym jeńcem imieniem Norman, jak się później okazało, Szkotem, mającym swą rodzinę w Argylshire. Norman stał się codziennym, a raczej conocnym gościem, serdecznie witany przez wszystkich domowników i goszczynym, w miarę posiadanych zapasów. Mógł on już trochę mówić po polsku, a Antoni S., brat i siostra, rozumieli coraz więcej po angielsku. By upamiętnić długie wieczory zimowe spędzone razem, zrobiono sobie nawet wspólną

fotografię, przy czym Norman dla bezpieczeństwa został ubrany w cywilną marynarkę.

Przyjaźń rodziny Antoniego S. i Normana mimo przeniesienia jeńca do pobliskiego miasta T. stała się czymś trwałym i mocnym. Szkot, w łamanej polszczyźnie zapewniał, że nigdy nie zapomni serca okazanego mu przez Polaków, a polscy jego przyjaciele, będąc w m. T. starali się zawsze przyjść mu z pomocą.

Przyszły kłeski armii niemieckiej w Rosji i groźba inwazji Aliantów nabierała coraz bardziej rzeczywistych kształtów. Antoni S. został pobrany do wojska niemieckiego.

W marcu 1944, otrzymawszy urlop, przyjechał do domu i postanowił odwiedzić Normana, pracującego wciąż w mieście T. Koledzy Szkota ze zdziwieniem patrzyli na jego serdeczne przywitanie się z niemieckim żołnierzem. Kilka słów wyjaśniło sytuację. Niemcy, złamani na duchu wydarzeniami wojennymi od dawna pozwalali jeńcom na swobodniejsze zachowanie się. Nie zwracali też żadnej uwagi na niecodziennie przyjazny stosunek jeńca brytyjskiego i "żol-

nierza niemieckiego". W rozmowie jeńcy byli jak najlepszej myśli co do dalszego przebiegu wojny, a Antoni S. zwierzył się z obaw, że po urlopie zostanie prawdopodobnie wysłany z całym oddziałem do Francji. Wszyscy w Niemczech mówili o zbliżającej się inwazji. Przed pożegnaniem, Norman podał Antoniemu kartkę papieru, mówiąc:

— "To jest adres mego domu w Szkocji, weź to — może się znajdziesz w tamtych stronach."

Antoni S. roześmiał się niedowierzająco, ale wziął kartkę, schował do ostatniej kieszeni — i zapomniał o niej.

Minęło kilka miesięcy. Z Francji, między tysiącami takich, jak i on, znalazł się w obozie w Szkocji także — Antoni S. Po skomunikowaniu się z rodziną Normana pojechał w towarzystwie oficera opieki oddziału — poznać i odwiedzić rodzinę szkockiego przyjaciela. Cała historia wzbudziła duże poruszenie. Przybycie dwu Polaków stanowiło sensację dnia w całym miasteczku. Na przystanku autobusowym oczekiwała ich cała rodzina Normana — a przy popołudniowym tea, na którą zeszła się już nie tylko rodzina Normana, ale i znajomi i sąsiedzi, Antoni — a teraz już Tony — przy pomocy tłumacza w postaci oficera opieki opowiadał, opowiadał i opowiadał. Niemałe poruszenie wzbudził list pokazany przez matkę Normana z datą 20. marca 1944, w którym widnieje zdanie: "Jeśli przypadkiem spotkasz Tony'ego pamiętaj, że jest on moim najlepszym przyjacielem". Zdanie to do czasu przybycia Antoniego S., było niezrozumiałe dla matki Normana.

Z wybiem pewnej godziny wieczornej, całe towarzystwo przeniosło się do miejscowego "White Lion'u", gdzie odbyła się może mniej oficjalna, tym niemniej bardzo serdeczna uroczystość, pod koniec której Tony doskonale sobie dawał radę bez pomocy tłumacza.

Dzisiaj, Tony jest najpopularniejszą postacią w miasteczku, a rodzina Normana oświadczyła mu, że będzie "śmiertelnie obrażona" /damn hurt/, jeśli nie będzie uważał jej domu za swój własny.

LISTOPAD

Dzieci, pogaśmy światła, niech mrok będzie w domu

Rozsuwają się ściany, szum wpada, deszcz wpada, Skrzyпки grają nad rzeką, próchnem świecą wierzby...

I tylko na kominku rozpalimy ogień
I wejść nie pozwolimy nikomu, nikomu.
I otulę was czarem i ruszymy w drogę.

Pod chmurami, na ciemnych skrzydłach listopada
Lecimy zasłuchani. Do Polski? A gdzieżby.

Jeszcze chwila, a zniknie i ten pan we fraku
I wiktoriański fotel i szafa wenecka.
Powtarzajmy zaklęcia: Warszawa, Lwów, Kraków,

Gdzieżby indziej Krysieńko tak ci jesień grała,
Pukała w szyby różą, niebezpieczną porą,
Gdzieżby mógłby tak zadzwonić za oknami pałasz,
Nagłym dreszczem wolności, zgadywanej co rok.

Dom Tadzia, ogród Krysi, świat dziecka, sen

Szaleją struny w skrzypcach... wicher, lzy,

dziecka...

lzy krwawe...

Słyszycie? Tam za oknem jesień w liściach szpera

Jezus Maria! Krzyk męki we włosy się wplątał...

I majaczy przez szyby dziwny cień chochoła.

Prędko zapalcie światła! Przerynam zabawę,

I jakaś szabla dzwoni i jakiś głos woła...

Bo... pora spać najdrożsi. Dochodzi dziewiąta.

Sprawy polskie w książkach angielskich

POLACY W MIRANDZIE

Katolicki dziennikarz belgijski Charles d'Ydewalle opowiada we wstrząsającej książce "An Interlude in Spain" o swoich przeżyciach w więzieniach i obozach hiszpańskich. Najdłuższy przebywał w Mirandzie i tu miał sposobność zetknięcia się z licznymi Polakami.

Pewien Hiszpan zauważył, że myślała ona tylko o jednym: jak się wy dostać na wolność. "I to była prawda. Ten szczupły i przystojny Polak o oczach antylopy, który mówił po francusku jak student w *Quartier Latin*, był owładnięty jedną myślą; tak samo inny, który grał na gitarze i zorganizował chór, śpiewający pieśni ludowe. Rzeczywiście mieli tylko jedno na myśli. Pracowali nad tunelem."

Ydewalle dokładnie opisuje dzieje tych podkopów: nauczył się przy tym podziwu dla wytrwałości Polaków. Pierwszy podkop przypadkiem wykryto: "Owego wieczora, w ciemnościach, skrzypce polskie w rozdzierający sposób odtwarzały Chopina", którego przy świetle Polacy nigdy niemal nie grali: nie chcieli mieć świadków swych lez i wzruszenia. Następnego dnia przystąpiono do pracy nad drugim tunelem. Rywalizowały ze sobą dwie grupy Polaków, przy czym oba tunele, jak ramiona nożyce, miały spotkać się poza obrębem drutu kolczastego: "Rzadko, w ciągu swych wspaniałych dziejów, naród polski zdobył się na tyle dyscypliny". Tym razem podkop wykryto wskutek nieopatrzności innego Polaka, na pół idioty, który zyskwalifikowany przez towarzyszy, rozpoczął robotę nad trzecim tunelem na własną rękę. Nieszczęśliwie srodze ukarano, łamiąc mu nos i podbijając oczy. Od zlyczowania uratował go major, również Polak, który nadto osłonił pewnego Żyda, podejrzanego o ujawnienie przed władzami tajemnicy tunelu. "Chopin był na wondanie; pijaństwo i żalobne kadenecje napęliły ciemność żalem i rozpaczem".

Internowani w Mirandzie zajmowali się najróżnorodniejszymi rzeczami. Dwaj Polacy, Kazimierz i Henryk, chemicy z zawodu, założyli małą destylarnię: z tuzina butelek czerwonego wina hiszpańskiego wydobylali kwartę tegoż spirytusu. Kazimierz po pijanemu stawał się niebezpieczny. Na zbiórce udawał, że się ślizga, padał na ziemię wśród krzyków i śmiechu, po czym rzekomo zbierał pełnymi garściami śnieg. Wyglądał diatrybny przeciw dyktatorom i ze słowami: "Abajo los Tyrannos... Abajo los Dictaduras... Abajo... Abajo... /Precz z tyranami. Precz z dyktatorami. Precz. Precz!" wracał do baraku. Kiedyś Ydewalle go zaczepił: — "Był pan wczoraj bardzo wesół, panie Kazimierzu"... — "Nie, panie Ashley, byłem bardzo smutny, i to bardzo smutny. Usiłowałem znaleźć lekarstwo na to, co nazywacie... Jak to nazywacie?" — "Przygnębienie" — "Właśnie. Tak, panie Ashley. Spirytus przepędza je, wprawdzie tylko na chwilę, ale dobre i to".

Inny Polak, straciwszy nadzieję wydotkania się z obozu, zgodził się na proponowany mu przez Gestapo powrót do Kraju. Z tego powodu otoczony był atmosferą niechęci i podejrzliwości, traktowany jak dezertjer. Pewnego pięknego poranka zabrała go policja niemiecka i skierowała przez Hendaye do obozu koncentracyjnego na Śląsku. Ale ów Polak od dawna już żył życiem więźnia, który ma zamiar uciec, rozwinął w sobie zmysł spostrzegawczości, w czasie podróży żaden szczegół nie uszedł jego uwagi, w końcu "zniknął, nie pozostawiając śladów, zsunął się w ciemność, cień wśród cieni, w starych sandałach więziennych. Kiedy przyjechałem do Londynu, był u kresu swoich kłopotów. Przybył z Mirandy drogą okrężną".

W galerii mirandczyków wyróżniał się pewien Polak z Ukrainy, umiający rozkoszować się życiem i szczęśliwy nawet w więzieniu. Miał wesółą twarz, ogromne wąsy i ciało wytatuowane od stóp do głowy: "Syreny, wielkoludy, uhelmione Minerwy, salamandry, potwory morskie — hojnie obdzielono go wszystkim, co mogła stworzyć wyobraźnia specjalistów w wielkich portach w celu przyzdobienia skóry marynarza czy legionisty... Przymominał malowidła na ścianach klasztorów bizantyjskich". Długie lata służby w Legii Cudzoziemskiej wyrobiły w nim poczucie honoru i dyscypliny, nauczyły szacunku dla pracy. W obozie pełnił funkcje ordynansa przw bogatszych więźniach. Prał im bieliznę, gotował, obierał kartofle, czyścił ubikacje — pracował od rana do wieczora. "Reprezentował bardzo piękny typ człowieka". "Kto inny, Żyd, zarabiałby pieniądze przy pomocy handlu i oddawał je na procent. Ten zarabiał pracą swoich rąk i zarabiał na wesoło. Pił także na wesoło". Pił potrafił, jak pije chłop z Turenii w czasie winobrania: dwa litry w południe, trzy wieczorem. "Był to krepki, moc-

no, zbudowany człowiek, jakimi byli Francuzi z czasów Moliera i Henryka IV. Pod pewnymi względami Polska przypomina osiemnastoletnią /eighteen-year-old/ Francję".

Autor nie szczędzi najpochlebniejszych słów swoim polskim towarzyszom: "Powiedzmy sobie szczerze, że w takich czasach najprzyjemniejszymi ludźmi są ludzie z wiekiego świata / greater world/, a wśród Polaków nie mało było ludzi wykształconych. Byli oni dowcipni i inteligentni, znali się na dobrej literaturze, nigdy nie przestawali być cywilizowanymi ludźmi. Kiedy autor opuszczał Mirandę, "rozmawiali jak roztający się z sobą dyplomaci, którzy czekają na *express* na Gare du Quain-d'Orsay czy Victoria Station. — "Spotkamy się niebawem" — mówili ze spokojną pewnością obywateli wielkiej republiki ludzi cywilizowanych", mimo że nikt z nich nie przypuszczał, iż wydotkanie się z Mirandy przed końcem wojny.

W szpitalu mirandzkim "lekarz-Polak i dwaj ordynansi dokazywali cudów bez groza wynagrodzenia. Była to naprawdę manifestacja istotnie chrześcijańskiego miłosierdzia".

Poza tym Polacy przodowali także w footballu i... w brydżu.

POLACY W TOBRUKU

Alaric Jacob korespondent wojenny "Daily Expressu", w książce, poświęconej wrażeniom z kampanii afrykańskiej i rosyjskiej oraz odwiedzinom Indyj* opowiada o spotkaniu z Polakami w drodze do Tobruku.

Jacob opuścił Aleksandrię na statku min "Latonia", na który załadowano pięćset żołnierzy polskich, część brygady, jadącej złuzować załogę Tobruku. Okręt był przepelniony, po pokładzie trudno było się

* *Travellers' War. A Journey to the Wars in Africa, India and Russia. By Alaric Jacob. Londyn, Collins, 1944; str. 448.*

ruszać. Niektórzy żołnierze zabrali psy. Pewien sierżant miał skrzypce; dawniej wykładał w konserwatorium warszawskim, obecnie jechał, aby zorganizować w Tobruku orkiestrę.

Uwagę Jacoba zwraca żołnierz wysokości sześciu stóp, o typie napoléonskiego gwardzisty, o wosach niezwykłej długości, uczesany "en brosse": wycina właśnie w drzewie polskiego kawalerzystę. "Jest jakby nie na miejscu na tym szybkim okręcie wojennym, śpiesząc na pustynię by wziąć udział w wojnie karabinów maszynowych i samolotów". Niektórzy z Polaków należą do "starego" typu chłopów, dostrojonych do rytmu koni i do palby ze strzelb. Obok nich mamy oczywiście "pierwszorzędnych myśliwców lotniczych i doskonałych techników", ale należy przypuszczać że w chłopkim narodzie polskim należą oni do rzadkości.

Żołnierze polscy są "wspaniałymi typami /splendid fellows/", lecz patrząc na nich, Jacob nie może powstrzymać się od żalu, że Wielka Brytania nie rozpoczęła wojny z powodu Czechosłowacji zamiast z powodu Polski. Tak byłoby lepiej zarówno z punktu widzenia i ideologicznego jak technicznego. "Jakaż ogromna różnica dzieliła rządę Benesa od rządów Becka i Smigiego-Rydzia! Możecie powiedzieć, że biedni Polacy nie zasługiwali na swój reakcyjny rząd z r. 1939, który nie tylko aż do ostatniej chwili spiskował /intrigued/ z Niemcami przeciwko Związkowi sowieckiemu, ale również karmił gen. Ironsida różnymi bajkami, kiedy ten ufał się do Warszawy tuż przed wybuchem burzy, by uzgodnić poczynania sztabów. Był może Brytyjczyk, który pozbył się rządu Chamberlaina dopiero znacznie później, nie powinien rzucić kamieniami". Ale tak czy inaczej, Czechosłowacja była stosowniejszym "casus belli", niż Polska.

Wszelako — ciągnie dalej Jacob — cztery tysiące Polaków płynie teraz do piekła tobruckiego, "by krwawić i umierać za wspólną sprawę", pod-

czas gdy kwiatowi "nowoczesnej zmechanizowanej armii" czeskiej nie tylko nie dano okazji do walki, ale zmuszono go do robienia broni dla Niemiec w tych samych fabrykach, które powinny były pracować "dla nas".

Oczywiście, taki drobny fakt, że — mimo braku "nowoczesnej zmechanizowanej armii" — Polacy chcieli się bić z Niemcami, uchodzi uwagi Jacoba, podobnie jak uchodzi jego uwagi fakt, że mimo rzekomego "spiskowania", to nie Polska razem z Niemcami napadła na Związek sowiecki.

Jacob uważa się za "marxistę" /z poglądem — jak sam wyznaje — do rozkoszy, zażywanym w krajach rządzonych przez feudalną arystokrację/, znajduje jednak słowa uznania dla Polaków w związku z wspólnymi operacjami Polaków i Nowozelandczyków, które doprowadziły do zajęcia dobrze bronionych pozycji na zachód i południe od Gazali. Jacob podziwia znakomite uzgodnienie działań Polaków i Nowozelandczyków, mimo różnice geograficzne i językowe, jakie ich dzieli. "Pamiętajcie jak długo — dodaje Jacob — Polacy pomagali w utrzymywaniu fortu tobruckiego, trzeba przyznać, że dokonali wspaniałego dzieła, przeobrażając się z wojsk fortecznych w zmotoryzowaną piechotę — i do tego w pierwszorzędne oddziały szturmowe".

Jacob opowiada, że kiedy w czasie pobytu Churchilla w Moskwie, na jednym z przyjęć u Stalina podano "polską zubrówkę", mjr. Birse z ambasady brytyjskiej nachylił się do premiera i powiedział: "Niech mi pan wybaczy, ale jeśli wolno mi zrobić uwagę... Nie piłbym tej wódki. Jest bardzo mocna i uważam, że bardzo idzie... do głowy /and I have found it very-er-unsettling!". Birse nie był pewny, jak Churchill przyjmie jego uwagę, "ale Winston zauważył łagodnie: "O, doskonale, jeśli

pan tak twierdzi... " i nie dotknął wody ognistej".

JESZCZE ESKAPADA "ORLA" — BARTEK I KACZMARCZYK

Stanley Rogers opisuje w książce "Hazards of War"* kilkanaście bohaterkich dokonani z obecnej wojny, które świadczy o niezwykłym męstwie i wytrwałości biorących w nich udział żołnierzy, lotników i marynarzy.

Osobny rozdział p.t. "Running the Gauntlet" poświęcił autor epopei "Orla", słynnej ucieczce z Tallinna do Szkocji. Dzieje jej znane są każdemu Polakowi, relacja Rogersa przynosi kilka mniej znanych szczegółów. Okręt podwodny "Orzeł", tej samej klasy co "Sep", wybudowano ze składki Polskiej Ligi Morskiej, w r. 1939 we Vlissingen. Załoga liczyła 56 ludzi. Uzbrojony był w 34-calowe działo pokładowe, w dwa 40-milimetrowe działka przeciwlotnicze, w osiem 21-calowych wyrzutni torpedowych. Dowódcą "Orla" w chwili wybuchu wojny był komander Kloczkowski, ale wskutek choroby zastawiono go w Tallinnie. W zastępstwie jego dowództwo, objął komander-podporucznik Grudziński, przy czynnej współpracy komandora-podporucznika Piaseckiego.

Autor podkreśla nielojalność władz estońskich, które popełniły grube nadużycie, próbując — wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego — internować "Orla". Naprawdę kazano "Orłowi" przez 24 godziny czekać na odejście frachtowca niemieckiego "Thalappa", potem zawiadomiono dowódcę, że ponieważ "Orzeł" dłużej niż 24 godziny przebywał w neutralnym porcie, musi zostać internowany.

Z przewrotnością Estończyków kontrastuje szlachetny stosunek Polaków do dwóch zatrzymanych w czasie ucieczki z Tallinna wartowników estońskich, których o półtorej mili od wyspy szwedzkiej Gotland wsadzono do jedynej łodzi "Orla", zaopatrzonej w żywność i pieniądze /nie zapominając o butelce whisky/ i pozwolono odpłynąć. Grudziński wręczył im list do admirała estońskiego, stwierdzający, że wartownicy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to co się stało. Rzeczą znamionną jest, że wyrazili oni chęć pozostania na "Orle", w obawie przed karą, jaka czeka ich w Tallinie, ale Grudziński odpowiedział z pewną ironią, że w każdym razie będą bezpieczniejsi na łodzi niż na "Orle", który ma małe szanse przedostania się do Anglii. Radiostacja "Orla" powiadomiła jednocześnie rodziny więźniów, że znajdują się oni w Szwecji, nawet określiła w przybliżeniu miejsce lądowania, nie bacząc na niebezpieczeństwo ujawnienia pozycji okrętu.

Najdotkliwiej dawał się odczuwać brak map, które władze estońskie skonfiskowały. Wprawdzie Grudziński pod pozorem łowienia ryb dokonał pewnych pomiarów w porcie tallińskim, ale dalsza droga w labiryncie Bałtyku była najeżona niebezpieczeństwami. Przez pewien czas liczone było o możliwości otrzymania map od "Rysia", który — ciężko uszkodzony — zmierzał do Szwecji, ale potem i ta nadzieja zawiodła. Całą drogę do Anglii odbyto na oślep.

Pierwszy apel "Orla" z morza Północnego potraktowano w Anglii jako trunek niemiecki, ale na wszelki wypadek wysłano kontrtorpedowiec "Valorous". Gdy "Valorous" odnalazł "Orla", Grudziński zażądał przede wszystkim pomocy lekarskiej dla kucharza okrętowego, oraz wody, pożywności i papierosów dla załogi.

Później "Orzeł" zatopił transportowiec niemiecki "Rio de Janeiro" oraz wziął udział w zatopieniu cysternowców "Posejdon" i "Kreta". Nie powrócił z patrolu w czerwcu 1940 r.

Sierzanci Bartek i Kaczmarek, Polacy amerykańscy, należeli do załogi "latającej fortcey", która w październiku 1942 r. wystartowała z Honolulu na Australię, wioząc słynnego pilota kpt. Edwarda Rickenbackera na inspekcję placówek lotniczych amerykańskiego na oceanie Spokojnym.

Samolot zbłądził i musiał lądować na morzu. Załoga spędziła 21 dni na tratwach gumowych, zanim dostrzegł ją patrolujący samolot. Bartek i Kaczmarek byli bez butów, bez okrycia głowy, przy czym Bartek wyszedł z przymusowego lądowania z ciężką raną na rękę. Szczególnie dokuczają rozbitkom słońce, wywołujące porażenie skóry na głowie i twarzy. Kaczmarek pogarszał swój stan przez picie wody morskiej. Rickenbacker otaczał go najczulszą opieką, ale Kaczmarek — który choć niedawno opuścił szpital, z wytrwałością znosił cierpienia — umarł na dziesiąty dzień. Również i Bartek znajdował się w stanie zupełnego wyczerpania i gdyby nie nieoczekiwany ratunek, nie wytrzymałby zapewne trudów dalszego błądzenia po oceanie.

* *Hazards of War. By Stanley Rogers. With fifteen illustrations in half-tone. Londyn, George Harrap, 1944; str. 238 i tabl. 8.*

Skrzynka pocztowa

BŁĘKITNY TON

Do Redaktora "Polski Walczącej".

Nie mogę się oprzeć potrzebie napisania kilku słów do Pana w związku z artykułem Tadeusza Jerzego Bulsiewicza p.t. "Piszę tylko dla rannych" zamieszczonym w nrze 41 "Polski Walczącej".

W tych ciężkich latach obecnej wojny, gdy tyle nieszczęść wali się na nas ze wszech stron, człowiek coraz bardziej obojętnie, robi się nieczuły, stępał. Ale nawet najmniej wrażliwy czytelnik nie mógł być obojętny, czytając apel skierowany do rannych przez Tadeusza Bulsiewicza.

A cóż dopiero, jeśli się wie, ile autor tego wezwania sam przeszedł — lata obozu w Rosji, kampania we Włoszech przetrwana strasznym poranieniem twarzy, które przykuło go do łóżka szpitalnego na szereg miesięcy. I Bóg jeden raczy wiedzieć jak długo będzie się jeszcze musiał leczyć, przez ile przejść operacji i w jakim stanie w końcu z tego wyjdzie.

I ten oto człowiek, tak ciężko doświadczony przez los, pisze artykuł, w którym nie ma śladu szlachetności czy jakiegokolwiek przykującej prostoty i naturalności sformułowania myśli. Artykuł po którego przeczytaniu nabiera się ponownie wiary w dobroć i prawosłudzką — wiary, którą wypadki polityczne ostatnich lat musiały w każdym z nas tak bardzo podkopać.

Atmosfera "polskiego Londynu" bardzo potrzebowała takiego dopływu świeżego powietrza, jakim jest artykuł Bulsiewicza. Jeśli rozmaici "special correspondents" tych lub innych pism angielskich piszący o sprawach polskich /ostatnio tak często i tak bardzo fałszywie/ chcą

poznać prawdziwego ducha Polaków, przeczytajcie artykuł Bulsiewicza. Zrozumieją wtedy na czym polega ta "Polish folly", jak uznał za stosowne nazwać ją przed dwoma tygodniami londyński "Spectator".

Apel Bulsiewicza napisany i skierowany jest tylko do rannych. Ale wierzę, że do swojego "błękitnego funduszu" dopuści on i intruzów, którzy będą chcieli w tej formie wyrazić mu wdzięczność za to wszystko, co artykuł jego im dał.

Szóstka Gwiazdka na obczyźnie! Rodziny nasze w Kraju a my nie możemy w tym roku nawet posłać im paczki z sardyńkami czy rodzynkami. Najcieńsza Gwiazdka ze wszystkich dotychczasowych. Nawet samo słowo: "Gwiazdka" brzmi gorzką ironią. Bo cóż my Polacy możemy znaleźć dla swojej Ojczyzny na tegorocznej choince? Choince "Zjednoczonych Narodów". Ale to nie zmienia naszej woli trwania w wiernej służbie Polsce — tak jak tę służbę w sumieniach naszych rozumiemy.

Byliśmy przyzwyczajeni zawsze ofiarowywać coś Najbliższemu na Gwiazdkę — dzisiaj ta możliwość dla nas nie istnieje. Odpowiedzmy więc wszystkim na piękny apel Bulsiewicza.

By nie ograniczyć się do słów prozę Pana Redaktora o przyjęcie załączonych pięciu funtów jako mojego udziału w zbiórce na "błękitny fundusz".

Stefan Żurawski

JAK ZDOBYTO CHAMBOIS

Szanowny Panie Redaktorze! W nr. 49 "Polski Walczącej" z 9 b.m. ukazał się "list Francuza", opisujący walkę o Chambois w nastę-

pujący sposób: "19 sierpnia Dywizja otrzymała zadanie zamknięcia drogi do Falaise — 1-szy ppanc. i 10 P.S.K. zamykają drogę szwabom przez połączenie się z Amerykanami w Chambois".

Ustęp ten i dalsze są niezgodne z prawdziwym przebiegiem akcji. Stwierdzam to jako dowódca odpowiedzialny za tę akcję, t.j. dowódca grupy na tym odcinku.

Zdobycie w.w. miejscowości odbyło się w następujący sposób:

10 P.S.K. doszedł do miejscowości Chambois od północy na odległość 2 km, i zatrzymał się dozorując kierunek miasta. Zadanie zdobycia miasta otrzymałem ja jako dowódca 10 Pułku Dragonów. Pułk Dragonów minął dozorujący 10 P.S.K. i zdobył miasto od północy nawiązując łączność z Amerykanami na rynku.

Pierwszy, który zauważył Amerykanów, był ppor. K., syn dowódcy brygady kawalerii z Polski. Okrzykiem: "Friend" zorientował on Amerykanów o naszej obecności w mieście. Na rynku podczas walki nastąpiło zbratanie obu przedstawicieli wojsk, a w chwili później dowódca baonu amerykańskiego zadowolony z tego obrotu rzeczy zaofiarował mi współpracę.

Dowódca 10-ej Brygady, płk. M., winał mi tej akcji przez radio i polecił powitać Amerykanów w imieniu naszej Dywizji.

Następnego dnia został mi podporządkowany 24 pułk i dyon ppanc. 17-funtowy. 1 ppanc. znajdował się na "Maczudze", parę kilometrów na wschód od miasta.

Łączę wyrazy poważania i prośbę o sprostowanie

Władysław Zgorzelski

Kącik językowy

/plut. Z.W., Szkocja/. Jak należy mówić poprawnie: "tę", czy "tą" kobiecie?

— Bardziej poprawna jest niewątpliwie forma: "tę kobiecie"; przemawia za nią tradycja oraz język literacki. Jednak forma "tą" dla przyładka czwartego uzyskała tak znaczne rozpowszechnienie, że trudno uważać ją za błędną. Już przed wojną wielu językoznawców uznawało ją za dopuszczalną.

/por. M. T., Londyn, S.W.7/. Ostatnio słyszałem wyrażenie: "Warszawa... była do ostatka niezłomną". Podobnych zwrotów słyszy się wiele w życiu codziennym. Czy użycie szóstej przyładki po czasowniku "być" jest dopuszczalne?

— Pytanie Pana dotyczy zdania wyrażnie błędnego. Orzecznik przymiotnikowy /a więc i taki, który został wyrażony imiesłowem odmiennym/ stawiamy zasadniczo w przyładku pierwszym. Należy więc mówić: Żołnierze byli dzielni /nie dzielnymi/, córka będzie poslušna /nie

poslušną/ i t.p. Natomiast orzecznik rzeczownikowy stoi zazwyczaj w przyładku szóstym. O pewnych komplikacjach można mówić jedynie wówczas, gdy orzecznik został wprowadzony przymiotnikiem, ale rzeczownik jest domyślny. Podany

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM

ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd

CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

przez Pana przykład tego rodzaju wątpliwości nie nasuwa.

/sierż. pchor. W. S./ Spotkałem się kilkakrotnie w prasie i w rozmowach z niezwykłym użyciem słowa "praktycznie". n.p.: "Oddział został praktycznie rozbrojony", "Całe miasto uległo praktycznie zniszczeniu" i t.p. Czy Pan Redaktor może mnie poinformować o pochodzeniu tego wyrażenia?

— Mamy w tych zabawnych zdaniach do czynienia z niewłaściwym tłumaczeniem angielskiego przyładka "practically", który często znaczy: właściwie, niemal, ściśle mówiąc. Niefortunnych tłumaczy uwiodło podobieństwo wyrazów polskiego i angielskiego. Pierwszy z podanych przez Pana przykładów miałby może pewien sens, gdyby przy rozbrajaniu zastosowano jakąś szczególnie praktyczną, dogodną metodę. Ponieważ jednak nikt o tego rodzaju wyrażeniu nie słyszał, musimy wnioskować, że autor popełnił błąd językowy.

* *An Interlude in Spain. By Charles d'Ydewalle. Translated by Eric Sutton. Londyn, Macmillan, 1944; str. VIII i 212 i 4nl.*

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGLYCH ŻOŁNIERZACH 14. WLKP. DYW. PIECH.

Dear Sir,
I enclose Postal Order for 2/6 for the "Widows and Orphans" Fund of the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.
I remain, G. Hughes

Dear Sir,
I enclose Postal Order for 2/6 for the "Widows and Orphans" Fund for the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.
I remain, M.S.

Dear Sir,
I enclose Postal Order for 5/- for the "Widows and Orphans" Fund of the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.
I remain, J. Bowman

Dear Sir,
I enclose Postal Order for £1 for the "Widows and Orphans" Fund of the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.
I remain, Wm. G. Hughes.

Proszę uprzejmie o przyjęcie ode mnie, Wielkopolanina i inwalidy wojennego z powodu odniesionych ran w czasie niewoli sowieckiej w 1940 r., drobnego datku sh. 5 w P.O. na "Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. D.P."
K.J.

W załączeniu przesyłam P.O. na 5 sh. z przeznaczeniem na Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. Dyw. Piech.
Henryk S. kpt.

Dear Sir,
I enclose Postal Order for 5/- for the "Widows and Orphans" Fund of the soldiers of the 14th Great Poland Infantry Division.
I remain, sympathetically yours,
A. L. Watt

Na pomoc Warszawie: £1,399

Redakcja "Polski Walczącej",
Przesyłam Money Order na kwotę £50.9.0 z uprzejmą prośbą o przeznaczenie jej na pomoc Warszawie od Oficerów Wojskowego Instytutu Geograficznego.
Z poważaniem
Szeff W.I.G.
/—/ Inż. P. pplk.

for his rendering of popular Polish song tunes.
The proceeds amounted to £8, for which I enclose a cheque.
I wish you, your colleagues, and your compatriots all the best during this extremely difficult period. It may be some small consolation to know you have many sincere friends in Manchester.
I am,
very sincerely yours,
Ann Davy /Mrs./

£10 /dziesięć funtów/ jako bezimienny dar na "Pomoc Warszawie".

Redakcja "Polski Walczącej",
Zamiast życzeń świątecznych składam sh.10 na fundusz "Pomocy mieszkańcom Warszawy".
Z poważaniem
F.G.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £83.1.0 /słownie: osiemdziesiąt trzy funty i jeden szyling/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,399.5.5 /słownie: tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, pięć szylingów i pięć i pół pенса/.

To the Editor,
Dear Sir,
Your readers may be interested to know that I organised a small concert, which was held last Sunday evening at the Longsight Railwaymen's Club.

Several friends of mine gave their services, and Polish songs were sung by Mr. Sep-Szarzyński, who was present by permission of his commanding officer. The accompanist at the piano was Mr. Leon Davy, who is well known to many Polish "boys"

I am,
very sincerely yours,
Ann Davy /Mrs./

Szanowni Panowie,
W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £14 sh.2 /czternaście funtów, dwa szyl./ zebrane przez szeregowych kompanii G. Spad. Osrodka Zap. przy wypłacie żołdu dn. 20 ub.m. Powyższa kwota zebrana została na cel pomocy Warszawie.
Z poważaniem
W. Wicherski

Na apel P.C.K.

Panie Redaktorze,
W odpowiedzi na apel Polskiego Czerwonego Krzyża, Bateria Łączności . . . P.A.Mot. wpłaciła £34 sh.18 d.7 dla "Rannego żołnierza". Załączam M.O. na wymienioną kwotę i proszę o przekazanie jej na powyższy cel.
Ponadto oficerowie III Dyonu . . . P.A.Mot. złożyli sh.14.2 dla "Rannego żołnierza"
Podoficerowie i szeregowi II Dyonu . . . P.A.Mot. złożyli sh.14.7 na paczki dla jeńców w Niemczech.
Załączam P.O. na wymienione kwoty.
Oficer opieki P/15

Czerwonego Krzyża i przesyłam tą drogą, zamiast życzeń tegorocznych Świąt i Nowego Roku, Money Order na £5 z tego £2 dla "Rannego żołnierza" i £3 na pomoc dla Kraju.
Z poważaniem
Janina i Adam Andrzejewscy

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Uprzejmie proszę o przyjęcie skromnej ofiary w sumie £1.10.0 /słownie: jeden funt, dziesięć szyl./ na "Błękitny Fundusz".
J.M. kpr. art. Inwalida

P. Stefan Żurowski £5 /pięć funtów/. Por. list w Skrzynce Pocztowej p.t. "Błękitny ton".

Do Redakcji "Polski Walczącej",
Żołnierze Kompanii Zaopatrywania Obozu Nr. V, Forres złożyli samorzutnie kwotę £20.0.4 /dwadzieścia funtów szterli/, cztery pенса/, na rzecz "Pomocy dla Kraju".
Listę ofiarodawców załączam.
Pieniądze przesyłam w załączeniu.
Z poważaniem
Komendant Obozu Nr. V.
kapitan K.

NA PACZKI OD SERCA

Podoficerowie i szeregowi II Dyonu . . . P.A.Mot. złożyli szylingów 14.7. na paczki dla jeńców w Niemczech.
Oficer opieki P/15

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam £2, złożone na moje ręce przez Miss Marion Richmond, 24, Rennie St., Falkirk, jako ofiarę na "Polish Children Rescue Fund".
Jadwiga Kleczke

Szanowny Panie Redaktorze,
Redakcja "Polish Fortnightly Review" otrzymała od swej czytelniczki p. M.K. Sweetapple-Horlock czek na £2.2.0 z przeznaczeniem na jakiś cel polski, według mojego wyboru. Przesyłam ten czek przy niniejszym z prośbą o przekazanie na Polish Children Rescue Fund.

List p. Sweetapple-Horlock jest tak wzruszający w swej przyjaźni, że warto go zacytować bodaj w urzywkach. Pisze ona:

"... Our grateful thanks to you for so kindly forwarding the "Polish Fortnightly Review" and other most interesting literature of your most heroic country, the earliest and the bravest in all the conflict with the devilish hords of Hell now progressing in Europe.

"... We are watching with anxiety, as indeed any right-minded people must, the many difficulties with which you are confronted, and pray Heaven that the tremendous sacrifices and awful martyrdom you have been called to endure may reap their full reward in the complete re-instatement of your gallant people in the full and undivided possession of their own land.

Any other settlement would appear to us— and surely to others also as aggression.

Permit me to add our congratulations on the decorations recently announced by Field-Marshal Montgomery to your compatriots now fighting so unflinchingly with the Forces of H.M. Our King.

With our good wishes to Poland and her people".

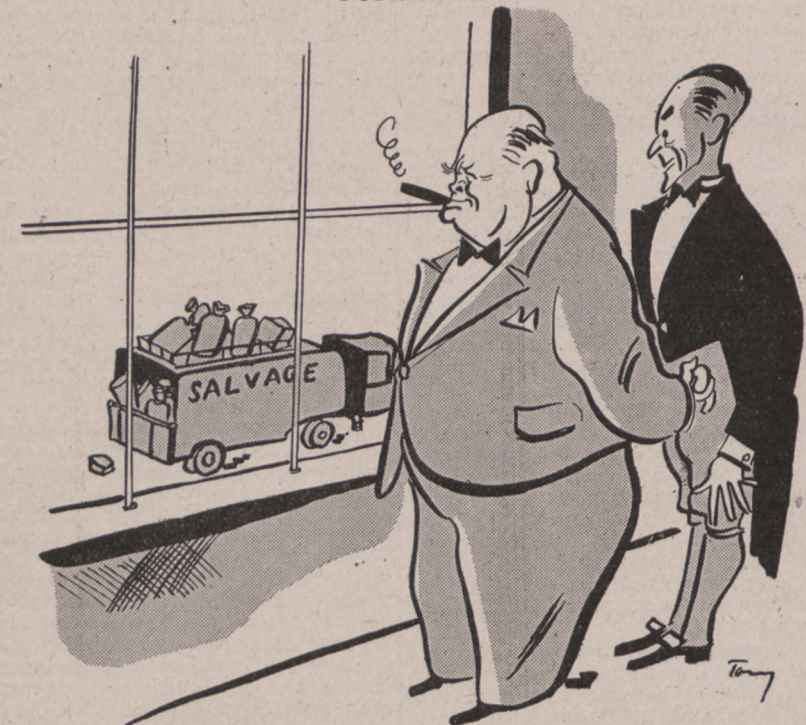
H. Schönfeld

Redaktor "Polish Fortnightly Review"

WERINAJSEK

SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

POPRAWKI



—John, skąd się wzięło tyle papieru na "salvage"?
—To pierwsze projektu na temat przyszłego ustroju w Europie . . .

DOBRA RADA

W Londynie spotykają się dwaj rodacy:

—Wie pan, w tym Londynie zwariować można! Potwornie nudno! Nawet nie można się rozerwać! . . .
—Rozerwać??? Niech pan jedzie do Holandii — tam rozerwie pana — granat . . .

ROZMÓWKI W LONDYNIE

—Widziałem b. ministra Stańczyka w autobusie . . .
—Co pan mówi, to nie jeździ "metrem"?
—Nie, chce się utrzymać na powierzchni . . .

SZPERACZ

"Gdzieś w Anglii" oddział polski ma ćwiczenia. Rozkaz brzmi: "Przeprowadzić rozpoznanie i zbadać sąsiedni park, otoczony wysokim murem".

Pierwszy podchodzi strzelec Łazik. Wdrapuje się na mur i krzyczy do kaprała:

—O rety!!! A to ci świntuchy! . . .

—Co się stało? Kto tam jest?

—Sami goli! Klub nudystów!

—A kobiety są? . . .
—Melduje, że trudno mi poznać, ponieważ są bez bielizny . . .

CÓ NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT W LONDYNIE



—Panie kolego, pan pije whisky z wodą?
—Co mam robić, sama woda mi nie smakuje . . .

ODCIAŁ SIĘ

—To pan jeszcze nie awansował? Pięć lat kapralem! A to z pana fujara!

—Panno Ziuto! Ze mną jest to samo, co z panią. Pięć lat temu była pani panną i dzisiaj też. Widocznie nikt się nami nie zainteresował . . .

PO OSTATNICH AWANSACH
Mówią w Londynie, że w związku ze zbliżającą się gwiazdka, w ostatnich dniach zabrakło gwiazdek w polskich sklepach.

W LONDYNIE

—Pan się myli, ten pan nic nie załatwił! . . .

—Wręcz przeciwnie, wszystko poszło na drogę służbową . . .

Tekst i rysunki: TONY

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE

Czy wiecie . . .?

1/ Co to jest szrapnel, a kto to jest Shrapnel?

2/ Który słynny pisarz angielski drukował na okładkach swych książek znak swastyki?

3/ Czemu równa się metr i kilogram w miarach angielskich?

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

Pewien sierżant nie potrafił, mimo usilnych starań, nauczyć swych żołnierzy niektórych ćwiczeń. Zawołał "spocznij!" i powiedział: "Opowiem wam historię: Gdy byłem małym chłopcem moja babunia dała mi na imieniny pudełko drewnianych żołnierzy. Nie możecie sobie wyobrazić moi drodzy przyjaciele, jak się nimi cieszyłem. Ćwiczyłem ich i bałem się nimi całymi dniami, aż raz pewnego zabrałem ich na spacer i zgrubiłem. Nie uwierzylibyście jak płakałem. A gdy wróciłem do domu tego wieczora moja droga, stara babunia, o włosach śnieżno białych

i jeszcze bielszej duszy rzekła do mnie: "Mały Stasiu, pociesz się. Bóg jest dobry i zwróci ci jeszcze kiedyś twoich drewnianych żołnierzyków". I, mój Boże, miała rację! Zwrócił. O Wy kloce drewniane z mordami do pozłoty!"

/d/

Odpowiedzi:

1/ Szrapnel jest to pocisk składający się ze stosunkowo cienkiej powłoki pełnej kul i drobnego ładunku wybuchowego. Został tak nazwany od nazwiska wynalazcy generała H. Shrapnel'a /1761 — 1842/. Szrapneli używano podczas wojny 1914 — 1918, ale dziś ich się prawie nie używa. Odłamki bomb nie są szrapnelami!

2/ Kipling. Swastyka jest starym symbolem indyjskim. Gdy Hitler "odkrył" swastykę, Kipling przestał umieszczać ją na okładkach swych książek.

3/ 1 metr = 39,37 inchów, 1 kilogram = 2,2046 funtów /angielski znak na funty jest lb./

Żołnierz z frontu prosi nas o zakupienie dla niego książki prof. A. Pożaryskiego p.t. "PRZYSTĘPNA ELEKTROTECHNIKA PRĄDÓW SILNYCH". Ponieważ książka ta jest wyczerpana, prosimy Czytelników o łaskawą pomoc w nabyciu egzemplarza tej książki po cenie rynkowej.
Zgłoszenia do Redakcji "P.W."

SPIS RZECZY:

Zbigniew Grabowski: Rola Francji. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Antoni Bogusławski: Po czterech latach /Wywiad z Ministrem Obrony Narodowej/. — Konny Artylerzysta: Tchórze i truciele. — Lotnictwo polskie na Zachodzie /Reportaż fotograficzny/. — Jan Scibor: Myśliwy z bombami. — Porucznik Herbert: "Ferring" w Holandii. — Eugeniusz Romiszewski: Serce na co dzień. — Ian Ker: Antoni, przyjaciel Normana. — Jan Rostworowski: Listopad. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Kacik językowy. — Tony: Werinajsek. — Na pomoc Warszawie. — Na wdowy i sieroty po poległych żołnierzach 14-ej Wlkp. Dyw. Piech. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na apel P.C.K. — "Błękitny Fundusz". — Fotografie.

"POLISH TROOPS IN ITALY"

Biblioteka Walczącej Polski pod redakcją Wacława Śledzińskiego wydała publikację w języku angielskim p.t.: "POLISH TROOPS IN ITALY" pióra Mariana Czuchnowskiego. Tematem tej pracy są dzieje i walki II Korpusu polskiego. Broszura ilustrowana jest 19 fotografiami. Cena egzemplarza 2/6.

Ta sama praca wydana została poprzednio w języku polskim p.t.: "Z ziemi włoskiej do Polski".

Nowość! Nowość!

WACŁAW SOŁSKI
POCIĄG ODCHODZI
O PÓŁNOCY
powieść
Cena 9/6
NAKLADEM SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ
8, HOPE ST., EDINBURGH.

BĄDŹ RZEŹKI
Nie upadaj na duchu z powodu zmęczenia lub pogarszającego się stanu zdrowia. Używaj pasa LINIA BELT, który umieszcza opadnięte organa wewnętrzne i działa jako masaż, usuwający tłuszcz oraz przywraca młodzieńczy wygląd.
Ograniczoną ilość pasów Linią Belt ofiarowujemy.
J. ROUSSEL LTD.,
179-181 Regent Street, London, W.1. tel REG 7570
oraz w Birmingham, Glasgow, Liverpool, Manchester itp

Używaj pasa LINIA BELT

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godzin 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances No Tablets—
No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Cc mp etc
Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyde, London, W.C.1